



Anaïs Nin

Szpieg
w domu miłości



WYDAWNICTWO LITERACKIE

Nin Anais

Szpieg w domu miłości

Wnikliwe studium wrażliwej i skomplikowanej psychiki młodej kobiety, która poprzez erotykę i seks szuka spełnienia prawdziwej miłości.

Inspektor spał, kiedy usłyszał dzwonek telefonu.

Zdawało mu się najpierw, że to budzik każe mu wstać, ale po chwili, zupełnie obudzony, przypomniał sobie, jaki ma zawód.

Głos, który usłyszał, był chropawy, jakby zmieniony. Nie potrafił rozróżnić, co jest tego przyczyną: alkohol, narkotyki, niepokój czy strach. Był to głos kobiety, ale mógł to być też chłopak udający kobietę albo kobieta udająca chłopca.

— O co chodzi? - spytał. - Halo, halo, halo.

— Musiałam z kimś porozmawiać, nie mogę spać. Musiałam do kogoś zadzwonić.

— Chce pani coś wyznać...

-Wyznać? - powtórzył z niedowierzaniem głos; tym razem wysokie tony nieomylnie wskazywały na kobietę.

— Nie wie pani, kim jestem?

-Nie, wykręciłam numer na chybił trafił. Nieraz już tak robiłam. Dobrze jest wśród nocy usłyszeć czyjś głos, to wszystko.

-Ale dlaczego obcy? Mogła pani zadzwonić do kogoś z przyjaciół.

— Obcy nie zadają pytań.

— Mój zawód polega właśnie na zadawaniu pytań.

— Kim pan jest?

— Badam prawdziwość zeznań.

Po tych słowach nastąpiła długa cisza. Inspektor sądził, że kobieta odłożyła słuchawkę, ale usłyszał jej kaszel. —Jest tam pani?

- Tak.

- Myślałem, że pani odłożyła słuchawkę.

Teraz słychać było śmiech, swobodny, srebrzysty, wibrujący śmiech.

- Przecież nie uprawia pan zawodu przez telefon! -To prawda. Mimo to nie zadzwoniłaby pani do

mnie, gdyby pani była niewinna. Wina to jedyne brzemię, którego człowiek nie potrafi dźwigać samotnie. Skoro tylko popełnione zostaje przestępstwo, natychmiast dzwoni gdzieś telefon albo ktoś zwierza się komuś nieznanemu.

- Nie było żadnego przestępstwa.

-Ulęgę może przynieść tylko jedno: przyznać się, dać się schwytać, pójść pod sąd, ponieść karę. To szczyt marzeń każdego przestępcy. Ale nie takie to znów proste. Tylko połowa naszej istoty chce odpokutować, chce się pozbyć udręki wyrzutów sumienia. Druga połowa chce nadal być wolna. Więc tylko połowa poddaje się, wołając „Chwytajcie mnie”, gdy druga stwarza przeszkody, trudności, szuka ratunku w ucieczce. Jest to igranie ze sprawiedliwością. Jeśli sprawiedliwość okaże się zwinna, z pomocą przestępcy pójdzie jego tropem. Jeśli nie, przestępca będzie musiał sam zatroszczyć się o pokutę.

- Czy to jest gorsze?

-Myślę, że tak. Myślę, że jesteśmy surowszymi sędziami własnych czynów niż sędziowie zawodowi. Sądzymy nasze myśli, zamiary, skryte bluźnierstwa, skrytą nienawiść, nie tylko czyny.

Odłożyła słuchawkę.

Inspektor połączył się z centralą i polecił, żeby zbadano, skąd był telefon.

Okazało się, że z baru. Pół godziny później już tam siedział.

Starał się nie wodzić oczami wokoło ani nie przypatrywać, zamienił się cały w słuch, aby rozpoznać tamten głos.

Kiedy zamówiła coś do picia, podniósł wzrok znad gazety.

Ubrana w czerwień i srebro budziła mu w pamięci odgłosy i obrazy pędzącej ulicami Nowego Jorku straży ogniowej, wypełniającej serce biciem na alarm; cała ubrana w czerwień i srebro, czerwień i srebro przesywające ciało na wylot. Kiedy pierwszy raz spojrział na nią, poczuł: Wszystko spłonie!

Poprzez czerwień i srebro i długie wołanie na alarm skierowane do poety, który tkwi w każdej istocie ludzkiej, podobnie jak pozostaje w nim coś z dziecka — temu właśnie poecie rzuciła nagle w samym sercu miasta drabinę i nakazała: „Wchodź!”

Gdy się ukazała, regularne szeregi domów rozstały się, aby zrobić miejsce dla nieskończonej, pionowej drabiny, po której kazała mu się wspinać, a która niczym u barona Munchausena prowadziła wprost do nieba.

Tylko że jej drabina prowadziła w płomienie.

Spojrzał na nią znowu z zawodowym sceptycyzmem.

Nie potrafiła usiedzieć spokojnie. Gorączkowe słowa bez przerwy cisnęły się jej na usta, do utraty tchu, jak komuś, kto boi się ciszy.

Siedziała tak, jakby nie mogła usiedzieć przez dłuższą chwilę, a kiedy wstała, żeby kupić papierosy, równie gorąco pragnęła już być z powrotem na swoim miejscu. Niecierpliwa, czujna, ostrożna, jakby lękała się napaści, niespokojna i ożywiona, piła pośpiesznie, uśmiechała się tak przelotnie, że nie mógł być wcale pewien, czy to rzeczywiście uśmiech. Docierała do niej tylko część tego, co do niej mówiono, a nawet wtedy, kiedy ktoś od baru przechylił się ku niej i zawołał ją po imieniu, nie odpowiedziała od razu, jakby to nie było jej prawdziwe imię.

- Sabino - zawołał mężczyzna siedzący przy barze, przechylając się ryzykownie w jej kierunku. Nie puszczał jednak oparcia stołka, bojąc się upaść.

Ktoś bliżej powtórzył uprzejmie jej imię, aż w końcu zrozumiała, że to o nią chodzi. W tej chwili inspektor otrząsnął się z opalizującego odrętwienia, jakie wywołała w nim noc, ten głos, narkotyk snu, jej obecność, i zdecydował, że w zachowaniu tej kobiety można odnaleźć wszelkie symptomy winy: to, jak patrzy na drzwi baru, jakby wypatrując sposobnego momentu ucieczki, jej bezładne, urywane zdania, raptowne, przypadkowe ruchy, nie mające związku ze słowami, nagłe chwile po-
nurego milczenia.

Ponieważ znajomi podchodzili, siadali przy jej stoliku, potem przechodzili znów do innych, musiała podnosić głos, w zasadzie cichy, żeby słycać ją było mimo dźwięków zmysłowego bluesa.

Mówiła o przyjęciu, na którym zdarzyło się coś niejasnego, z mglistych scen inspektor nie umiał wyłowić bohaterki czy ofiary. Mówiła niby w rwącym się śnie, z przerwami, nawrotami, poprawkami, z natłokiem fantastycznych obrazów. Teraz była w łaźni w Maroku, pożyczła pumeks od miejscowych kobiet i uczyła się od prostytutek malować oczy proszkiem antymonowym kupionym na targu.

-Jest to czarny pył, który trzeba wsypywać prosto do oczu. Z początku piecze i lecały łzy, ale w ten sposób rozprowadza się to po powiekach i właśnie tak powstaje ta błyszcząca, czarna jak węgiel obwódka wokół oczu.

-I nie dostałaś zapalenia spojówek? - zapytał ktoś z prawej strony, kogo inspektor nie widział wyraźnie nieokreślona osoba, którą zbyła odpowiedzią:

-O nie, prostytutki mają proszek poświęcony w meczecie.

A potem, kiedy wszyscy roześmieli się z tego, czego nie uważała wcale za dowcip, roześmiała się też i zdawało się, że wszystko, co powiedziała, było wypisane na wielkiej tablicy, a ona wzięła gąbkę i starła to kilkoma słowami, które podważały wiarygodność zdarzenia w łaźni, albo może była to historia, o której czytała lub słyszała w barze, a gdy już wymazała ją z pamięci słuchaczy, zaczynała następną...

Opisywane przez nią twarze, postacie były zarysowane tylko połowicznie; ledwo zaś inspektor zaczynał je rozróżniać, zjawiały się nowe jak we śnie. Kiedy sądził, że mowa o kobiecie, okazywało się, że nie była to kobieta, ale mężczyzna, a gdy zaczynał się tworzyć wizerunek mężczyzny, okazywało się, że inspektor źle usłyszał, chodziło o młodego mężczyznę przypominającego kobietę, która niegdyś zaopiekowała się Sabina; a ten młody mężczyzna w jednej chwili przeobrażał się w grupę ludzi, którzy pewnego wieczora ją poniżali.

Nie mógł uporządkować w myśli osób, które kochała, których nienawidziła, od których uciekała, podobnie jak nie mógł nadażyć za zmianami w jej wyglądzie, gdy mówiła o sobie — „miałam wtedy jasne włosy”, „byłam wtedy zameżna” — ani zorientować się, kto był zapomniany albo zdradzony, a kiedy nie pozostało mu nic innego, jak uchwycić się pewnych powtórzeń, nie tworzyły one żadnej konstrukcji, lecz całkowicie sobie przeczyły. Najbardziej uporczywie powtarzało się słowo „aktorka”; jednakże po wielogodzinnym dociekaniu inspektor nie potrafiłby powiedzieć, czy jest aktorką, czy chce nią być, czy tylko ją udaje.

Gorączka zwierzeń zmuszała ją do uchylania rąbka zasłony, lecz od razu przeradzała się w strach, gdy ktoś słuchał zbyt uważnie. Raz po raz brała wielką gąbkę i przez zupełne zaprzeczenie ścierała wszystko, co po-

wiedziała dotąd, jakby ta gmatwanina była sama w sobie płaszczem ochronnym.

Najpierw gestem zapraszała i wabiła kogoś w swój świat, aby po chwili zasłonić przejścia; tasowała obrazy, znów się wymykając.

Świt, którego pierwsze oznaki zabłysły w drzwiach, uciszył ją. Szczelniej otuliła ramiona peleryną, jakby rozpoznała w nim ostateczne niebezpieczeństwo, jakby świt był największym wrogiem. Nie odezwała się do tego wroga ani słowem. Przez chwilę wpatrywała się gniewnie w światło, potem wyszła z baru.

Inspektor podążył za nią.

Zanim się obudziła, ciemne oczy Sabiny wysyłały poprzez ledwo uchylone powieki twarde światło drogich kamieni, czysty ciemnozielony blask berylu, jeszcze nie rozgrzany jej gorączką.

Potem zbudziła się w jednej chwili, czujna.

Nie było to budzenie się stopniowe, ufnie wprowadzające w nowy dzień. Skoro tylko światło czy dźwięk docierały do jej świadomości, zewsząd groziło niebezpieczeństwo i zrywała się, gotowa odpierać ciosy.

W pierwszej chwili jej twarz wyrażała napięcie, nie było w niej piękna.

Niepokój, który odbierał siły ciała, nadawał też twarzy charakter nieokreślony, pełen wahania, pozbawiony piękna jak nieostra fotografia. Pomału nastawiała ostrość nowego dnia, jednoczyła psychikę z ciałem. Był to wysiłek, tak jakby procesy rozpadu i zaniku, które się dokonały w jej osobowości tej nocy, były trudne do odwrócenia. Przypominała aktorkę, która musi komponować swoją twarz, pozę, zanim rozpocznie dzień.

Czarny ołówek nie służył zwykłemu podkreślaniu jasnych brwi, ale rysował linie niezbędne do złagodzenia chaotycznej asymetrii. Szminka i puder nie były nakładane tylko po to, żeby wygładzić porcelanową cerę i obrzmienia pozostawione przez sen, ale po to, aby wyrównać ostre bruzdy wyżłobione przez nocne zmy, aby przywrócić kształt policzkom, zatrzeć wewnętrzne konflikty i zmagania, psujące przejrzystość rysów twarzy, doskonałość jej form.

Musiała przemalować twarz, złagodzić niepokój brwi, rozdzielić pozalepiane rzęsy, zmyć ślady tajonych łez, niczym na płótnie zaakcentować usta, aby zdołały utrzymać olśniewający uśmiech. Chaos wewnętrzny, jak podziemne wulkany raptownie niszczące równe bruzdy troskliwie zaoranych pól, czaił się pod każdym zaniedbaniem twarzy, włosów i stroju, szukał tylko rysy, przez którą mógłby wybuchnąć na zewnątrz.

To, co widziała teraz w lustrze, było zaróżowioną twarzą o jasnych oczach, uśmiechniętą, gładką, piękną. Wynik złożonych zabiegów opanowania i sztuki rozproszył tylko jej niepokoje; teraz, gdy czuła się gotowa na spotkanie dnia, wyłoniła się jej uroda, zatarta dotąd i trawiona przez niepokoje.

Zastanawiała się nad strojem, tak samo ważąc możliwość niebezpieczeństw zewnętrznych jak wówczas, gdy nowy dzień wtargnął przez zamknięte okna i drzwi.

Biorąc pod uwagę niebezpieczeństwo, grożące zarówno ze strony przedmiotów, jak i ze strony ludzi, która suknia, które buty, który płaszcz będą stawiały mniejsze wymagania jej przerażonemu sercu i ciału? Bo kostium to też wyzwanie, pułapka, rola, która, raz przyjęta, może zawładnąć aktorem.

W końcu wybrała suknię z dziurą w rękawie. Kiedy ją ostatni raz miała na sobie, zatrzymała się przed restauracją zbyt luksusową, zbyt okazałą, toteż bała się do niej wejść, ale zamiast: „Boję się tu wejść” — mogła powiedzieć: „Nie mogę tu wejść z rozdartym rękawem”.

Wybrała pelerynę, która otulała najszczelniej i wydawała się najlepszą osłoną.

W fałdach peleryny kryły się też cechy posiadane, jak sobie wyobrażała, wyłącznie przez mężczyzn — rozmach, zuchwalstwo, jakaś wyzywająca, niedostępna dla kobiet swoboda.

Prowokującą muletą torreadora, powiewającym proporcem średniowiecznego jeźdźca, rozwiniętym żaglem w zderzeniu z wiatrem, przyłbicą rycerza podczas bitwy - wszystkim tym stawiała się dla niej peleryna, kiedy zarzucała ją na ramiona.

Peleryna rozpostarta na ziemi była łóżem nomadów, rozwinięta - sztandarem przygody.

Sabina miała teraz na sobie strój najodpowiedniejszy do wypraw, bitew, turniejów.

Kurtyna bezbronności nocnej szła w górę, odsłaniając osobę przygotowaną na wszystko.

Przygotowana - mówiło lustro, przygotowana - mówiły buty, przygotowana — mówiła peleryna.

Stała, oglądając swoją postać, gotowa na niebezpieczne i groźne spotkanie z dniem.

Nie zdziwiła się, kiedy wyjrzała przez okno i zobaczyła mężczyznę, który wyszedł za nią z baru. Stał na rogu i udawał, że czyta gazetę.

Nie doznała zaskoczenia, gdyż była to jedynie materializacja uczucia, które znała od lat - uczucia, że czyjeś oko obserwuje ją i towarzyszy jej zawsze i wszędzie.

Szła Osiemnastą ulicą w stronę rzeki. Trochę nierytmicznie, dużymi krokami, zdyszana i pochylona do przodu, jakby się z kimś ściagała.

Po lewej stronie ulicy stały jeden przy drugim garaże wozów ciężarowych. O tej porze rozsuwano ciężkie żelazne bramy i ogromne ciężarówki wytaczały się na ze-

wnątrz, przesłaniając słońce. Koła ich były wyższe od Sabiny.

Tworzyły szereg tak zwarty, że nie było już widać domów po drugiej stronie. Utworzyły mur warczących silników i zaczynających się obracać wielkich kół na prawo od Sabiny. Z lewej strony otwierało się coraz więcej bram i coraz więcej ciężarówek zbliżało się powoli, jakby miały Sabinę pochłonać. Wynurzały się groźne, nieludzkie, takie wysokie, że nie mogła dojrzeć kierowców.

Sabina poczuła, że ciało jej się kurczy, a w miarę jak się kurczyło, ciężarówki urastały do monstrualnych rozmiarów, przerażające koła obracały się coraz prędzej. Czowała się jak dziecko w niesamowitej krainie olbrzymów. Czowała, jak delikatne są kości jej stóp w sandałkach. Czowała się krucha i łamliwa. Czowała, że przytłacza ją niebezpieczeństwo, zmechanizowane zło.

Poczucie własnej kruchości było tak silne, że przestraszyło ją nagłe pojawienie się po lewej stronie kobiety idącej za nią krok w krok. Sabina zerknęła spod oka i uspokoił ją wysoki wzrost tamtej i pewny siebie chód. Kobieta też była ubrana na czarno, ale nie widać po niej było lęku. Nagle kobieta znikła. Lustro skończyło się. Sabina widziała przed chwilą samą siebie, naturalnej wielkości wizerunek idący obok skurczonego, wewnętrznego „ja” — jeszcze jeden dowód na to, jak wielka była dysproporcja między jej odczuciami a rzeczywistością.

Jak nieraz przedtem, Sabina doświadczyła uczucia własnej małości i ogromu zagrożenia, ale w lustrze ujrzała wysoką, silną, dojrzałą, trzydziestoletnią kobietę, zdolną radzić sobie w każdych warunkach. W lustrze odbijał się ten obraz, który stworzyła i prezentowała światu, a jej utajone wewnętrzne „ja” kuliło się ze strachu na widok wielkiego koła ciężarowego wozu.

Zawsze w takich właśnie chwilach załamania ukazywał się jej obraz męża, Alana. Aby go przywołać, konieczny był nastrój pewnej słabości, pewnego zachwiania równowagi wewnętrznej, pewnego nasilenia lęków. Ukazywał się jako punkt stały w przestrzeni. Spokojna twarz. Spokojna postawa. Wysoki wzrost, który wyróżniał go w tłumie i odpowiadał jej wyobrażeniu o jego niepowtarzalności. Obraz Alana stawał jej przed oczami niby zdjęcie migawkowe. Omijał wszystkie zmysły prócz wzroku. Nie pamiętała jego dotyku czy głosu. Był dla niej statyczną fotografią - w charakterystycznej pozie z lekko pochyloną głową, do czego zmuszał go wzrost, a jednocześnie z właściwym mu spokojem, który nadawał temu gestowi cechy błogosławieństwa. Nie potrafiła wyobrazić go sobie w chwili, gdy był rozbawiony, uśmiechnięty czy beztroski. Nigdy nie odzywał się pierwszy, nie narzucał swojego nastroju, swego zdania, czekał niby spowiednik, chcąc usłyszeć najpierw słowa i wyczuć nastrój innych. Cechowała go refleksyjna bierność słuchacza. Nie sądziła, żeby mógł czegoś bardzo chcieć (chyba że chodziłoby o jej powrót do domu) albo żądał czegoś dla siebie. Dwie migawki, które przechowywała w pamięci, a w których ukazywał dwie różne strony charakteru, nie tworzyły kontrastu - na jednej był wyczekującym,, mądrym, bezstronnym słuchaczem, na drugiej - zadumanym obserwatorem.

Jeśli jakieś zdarzenie (w tym wypadku zwykle przejście Osiemnastą ulicą) wywoływało w Sabinie paniczny lęk, ukazywały się te dwa wizerunki Alana i ogarniała ją tęsknota za domem.

Wróciła do pokoju, w którym się rano obudziła. Wyciągnęła spod łóżka walizkę i zaczęła pakować rzeczy.

Kiedy przechodziła obok recepcji, mężczyzna prowadzący rachunki uśmiechnął się do niej uśmiechem, któ-

ry, jak się jej zdawało, wyrażał pytanie, wątpliwość. Recepcjonista spojrzął na jej walizkę. Sabina podeszła do niego i spytała niepewnie: — Czy... mój mąż nie zapłacił rachunku?

— Pani mąż zatroszczył się o wszystko — odpowiedział mężczyzna.

Sabina poczerwieniała z gniewu. Już chciała powiedzieć: „Więc czemu się na mnie gapicie? I skąd ta ironia w waszych twarzach?” I czemu ona sama zawahała się przy słowie „mąż”?

Szyderstwo, które wyczuła w zachowaniu personelu hotelowego, spotęgowało jeszcze przykry nastrój ocieężałości i znużenia. Walizka zdawała się coraz cięższa. W tym poczuciu zagubienia każdy przedmiot stawał się niezwykle ciężki, każde miejsce przygnębiające, każde zadanie ponad siły. Przede wszystkim świat wydawał się pełen potępiających spojrzeń. Uśmiech kasjera był ironiczny, a dociekliwość recepcjonisty nieprzyjazna.

Przystań znajdowała się tylko o dwie przecznice dalej, jednak odległość wydawała się ogromna, trudności nie do pokonania. Zatrzymała taksówkę i powiedziała:

— Piąta Aleja pięćdziesiąt pięć.

— Proszę pani, to tylko dwie przecznice dalej. Ma pani chyba dość sił! — odrzekł impertynencko kierowca i pojechał dalej.

Ruszyła wolnym krokiem. Dom, do którego dotarła, był okazały, ale jak wiele domów w tej okolicy, bez windy. Nie było nikogo, kto by jej wniósł walizkę. Dwa piętra, które musiała pokonać, wydawały się jej nie kończącymi się schodami ze złego snu. Czuła, że pozbawia ją reszty sił.

Ale nic mi nie grozi. Będzie spał. Ucieszy się, że przyszłam. Będzie w domu. Otworzy ramiona. Przygarnie mnie. Już nie będę musiała walczyć.

Zanim jeszcze weszła na górę, zobaczyła cieką smugę światła pod drzwiami i poczuła, jak radość i ciepło przenika całe jej ciało. Jest. Nie śpi.

Jak gdyby wszystko inne, czego doświadczyła, było dopustem bożym, a to tutaj schronieniem, domem szczęścia.

Nie rozumiem, co każe mi stąd odchodzić, tu jest szczęście.

Kiedy drzwi się otwierały, odsłaniały zawsze ten sam, niezmienny pokój. Meble nigdy nie stały w nieładzie, światło zawsze było rozproszone i łagodne jak w sanktuarium.

Alan stał w drzwiach i najpierw zobaczyła jego uśmiech. Miał mocne, bardzo równe zęby w szczupłej, podłużnej twarzy. Zmrużone w uśmiechu oczy promieniowały miękkim, płowym światłem. Stał, sztywno wyprostowany, w postawie niemal wojskowej, a ponieważ był bardzo wysoki, jego głowa jakby pod własnym ciężarem pochylała się w dół, żeby mógł patrzeć na Sabinę.

Zawsze witał ją z wielką czułością, jak gdyby z góry zakładał, że muszą ją dręczyć jakieś zmartwienia.

Odruchowo spieszył, żeby ją pocieszać i ochraniać. Sposób, w jaki wyciągał ramiona, i ton, jakim ją witał, mówiły: „Przede wszystkim pocieszę cię i ukoję, przede wszystkim pomogę ci się pozbierać, zawsze jesteś taka rozbita, kiedy wracasz”.

Dziwne, przeciągające się, niemal bolesne napięcie, które odczuwała z dala od niego, rozpraszało się w jego obecności, już przy jego drzwiach. Wziął od niej walizkę, poruszając się ostrożnie, i postawił troskliwie w schowku. Jego ruchy cechowała celowość, poczucie doskonałej równowagi. Jego emocje i myśli obracały się wokół stałej osi niczym niezmienny układ planetarny.

Ufność, jaką budził w niej jego spokojny głos, ciepły i jasny, delikatne zachowanie, nigdy gwałtowne czy brutalne, wyważone wypowiedzi, nienatrętna wnikliwość — ufność ta była tak wielka, że aż bliska całkowitego podporządkowania się, całkowitego oddania.

Ufnie popłynęła ku niemu, wdzięczna i ciepła.

Był inny od wszystkich mężczyzn, odmienny, jedyny. Zajmował jedyne stałe miejsce we fluktuacjach jej uczuć.

— Zmęczona, moja maleńka? — spytał. — Miałaś ciężką podróż? Udało się?

Był tylko o pięć lat starszy od niej. Miał trzydzieści pięć lat i siwiały mu skronie, a mówił o niej, jakby był jej ojcem. Czy zawsze mówił do niej takim tonem? Spróbowała przypomnieć sobie Alana, kiedy był bardzo młody, kiedy ona miała dwadzieścia lat, a on dwadzieścia pięć. Ale nie potrafiła go sobie wyobrazić innego niż teraz. Kiedy miał dwadzieścia pięć lat, tak samo stał, tak samo się odzywał, tak samo mówił: „moja maleńka”.

Przez chwilę pieszczotliwy głos, aprobata i miłość, jaką okazywał, kusily ją, aby powiedzieć: „Alanie, nie jestem aktorką, nigdzie nie grałam, nie wyjeżdżałam nawet z Nowego Jorku. Wszystko zmyśliłam. Byłam w hotelu z...”

Wstrzymała oddech. Robiła tak zawsze, wstrzymywała oddech, żeby prawda nie wyszła nigdy na jaw, ani tu przy Alanie, ani w pokoju hotelowym przy kochanku, który wypytywał o Alana. Wstrzymała oddech, żeby zdusić prawdę, zdobyła się na jeszcze jeden wysiłek, żeby być aktorką, którą nie była, żeby zagrać rolę, której nie grała, żeby opisać podróż, której nigdy nie przedsięwzięła, żeby zrekonstruować kobietę, której nie było w domu przez osiem dni, żeby uśmiech nie znikł Alanowi z twarzy, żeby jego ufność i szczęście nie legły w gruzach.

W tej krótkiej chwili wstrzymania oddechu potrafiła dokonać przemiany. Przed Alanem stała teraz aktorka, odtwarzająca na nowo ostatnie osiem dni.

— Podróż była męcząca, ale sztuka miała powodzenie. Jak wiesz, z początku okropnie mi się ta rola nie podobała. Ale zaczęłam współczuć pani Bovary i drugiego wieczora grałam już dobrze, uchwyciłam nawet szczególny rodzaj jej tonu i gestów. Przeistoczyłam się zupełnie. Wiesz, jak z napięcia głos staje się wysoki i cienki, a zdenerwowanie wzmacnia gestykulację.

— Ależ z ciebie aktorka — powiedział Alan. — Ty jeszcze ciągle grasz. Tak mocno zrosłaś się z rolą, że nie możesz się z niej wyzwolić. Rzeczywiście gestykulujesz gwałtowniej niż zwykle i zmienił ci się głos. Czemu wciąż zasłaniasz dłonią usta? Jakbyś chciała zatrzymać coś, co mogłoby ci się wymknąć.

— Tak. To jej gest. Muszę przestać. Jestem taka zmęczona, taka zmęczona, nie mogę przestać... Nie mogę przestać być nią.

— Chcę mieć z powrotem moją Sabinę.

Ponieważ Alan powiedział, że to rola, którą gra, ponieważ powiedział, że to nie jest prawdziwa Sabina, którą kocha, Sabina poczuła, że kobieta, której nie było przez osiem dni, która przez te osiem dni mieszkała w małym hoteliku z kochankiem, którą nietrwałość i dziwność tamtego związku wprawiała w coraz większy niepokój, wyrażający się w nadmiarze ruchów, niepotrzebnych i żywiołowych niczym podmuchy wiatru lub falowanie wody, jest naprawdę kimś innym, rolą, którą grała w objeździe. Walizka, nietrwałość, przelotny charakter tych ośmiu dni zyskiwały w ten sposób usprawiedliwienie. To, co się stało, nie ma nic wspólnego z samą Sabina, tylko z jej zawodem. Wróciła do domu nietknięta, gotowa odpowiedzieć lojalnością na jego lojalność, zaufaniem na zaufanie, wiernością na wierność.

— Chcę mieć z powrotem moją Sabinę, nie tamtą kobietę z tym dziwnym gestem zasłaniania twarzy i ust ręką, jakby chciała zatrzymać coś, czego nie chce lub nie powinna powiedzieć.

Pytał o inne rzeczy. I teraz, kiedy przechodziła do opisu roli, którą grała, do opisu miasta, hotelu i innych osób z zespołu, czuła ten ukryty, bolesny ucisk w sercu, niedostrzegalny rumieniec wstydu, niedostrzegalny dla innych, lecz palący ją ogniem.

To ten wstyd ogarniał ją nagle, przenikał jej gesty, przesłaniał urodę chmurą, mącił przejrzystość oczu. Odczuwała to jak utratę piękna, odarcie z godności.

Każdemu zmyśleniu, każdemu kłamstwu wobec Alana stale towarzyszył nie wstyd świadomy, ale jego namiastka: od pierwszych słów czuła, jak płowieje na niej suknia, jak matowieją jej oczy, czuła, że staje się nieciekawa, niepociągająca, nie dość piękna, niewarta miłości.

Czemu mnie kocha? Czy będzie kochał mnie nadal? Jego miłość nie jest dla takiej kobiety jak ja. Nie jestem dość ładna, nie jestem dość dobra, nie jestem dobra dla niego, nie powinien mnie kochać, nie zasługuję na to, wstyd mi, wstyd, wstyd, że nie jestem dość piękna, są inne dużo piękniejsze, o promiennych twarzach i szczerych oczach. Alan mówi, że mam piękne oczy, ale ja nie mogę ich zobaczyć, dla mnie są oczami kłamczyni, moje usta kłamią, przed kilkoma godzinami całował je inny... Całuje usta całowane przez innego... Całuje oczy, które wielbiły innego... wstyd... wstyd... wstyd... kłamstwa... kłamstwa... Ubrania, które on wiesza tak starannie, pieścił i gniótł kto inny, tamten był tak niecierpliwy, że szarpał i gniótł na mnie suknię. Nie zdążyłam się rozebrać. To ta, którą wiesza z taką miłością... Czy mogę zapomnieć o wczorajszym dniu, o tamtym opętaniu, szale, czy mogę wrócić do domu i w nim zo-

stać? Czasem bardzo mi trudno znieść te szybkie zmiany dekoracji, szybkie przeobrażenia, nie mogę przechodzić gładko z jednego związku w drugi. Rozpadam się, rozpraszam w różne strony. Tracę bardzo ważne części swojej istoty, coś ze mnie pozostaje w pokoju hotelowym, coś ze mnie odchodzi z tej przystani, coś ze mnie podąża za tamtym, który idzie ulicą sam albo nie sam — ktoś może zająć moje miejsce przy nim, kiedy jestem tutaj, to będzie dla mnie kara, i ktoś zajmie moje miejsce tu, kiedy stąd odejdę. Czuję się winna, że opuszczam każdego z nich, czuję się odpowiedzialna za ich samotność, i czuję się podwójnie winna wobec nich obu. Gdziekolwiek się znajduję, jestem rozdarta na części, których nie śmiem połączyć, podobnie jak nie śmiałabym dopuścić do spotkania obu tych mężczyzn. Teraz jestem tutaj, gdzie nie spotka mnie nic złego, przynajmniej przez kilka dni nie zrani mnie żadne słowo ani gest... Ale nie cała tu jestem, tylko połowa mojej istoty szuka tu schronienia. Tak, Sabino, zawiodłaś jako aktorka. Zniechęciła cię dyscyplina, karność, monotonia, próby, konieczność ustawicznych wysiłków, za to teraz grasz rolę, którą trzeba zmieniać z dnia na dzień, żeby jednej istocie ludzkiej oszczędzić cierpienia. Umyj swoje kłamliwe oczy i kłamliwą twarz, włóż odzież, która pozostawała w domu, a która należy do niego, uświęcona jego dłońmi, graj rolę kobiety wewnętrznie spójnej, w końcu zawsze chciałaś być taka, to niezupełne kłamstwo...

Alan nigdy nie rozumiał, dlaczego Sabina od razu chce się wykapać, przebrać, zmyć makijaż.

Ból wewnętrznego rozbicia i rozdarcia ucichał, wstyd się rozpląwał, kiedy Sabina wkraczała w sferę pogodnego nastroju Alana.

W tej chwili Sabina czuje, że jakaś zewnętrzna siła zmusza ją, aby stała się kobietą, której Alan pragnie i po-

żąda, którą tworzy. Cokolwiek o niej mówi, ona to wypełni. Sabina nie czuje już odpowiedzialności za to, czym była. W jej twarzy i postaci, w zachowaniu i głosie następuje zmiana. Sabina przeistoczyła się w kobietę, którą kocha Alan.

Uczucia, które przez nią przepływają, które ją unoszą, to miłość, troskliwość, oddanie. Uczucia te tworzą silny nurt, który ją unosi. Intensywność ich sprawia, że pochłaniają wszystkie jej wahania, podobnie jak w przypadku fanatycznego poświęcenia dla kraju, nauki lub sztuki cel bezspornie rozgrzesza z wielu win pomniejszych.

Żrenice Sabiny zaślniły niczym małe brylanty, odbijając myśli skupione wokół jej najbliższych intencji. Zazwyczaj źrenice te były rozszerzone, jak gdyby nie dostrzegały rzeczywistości, ale teraz z ostrością szlifowanego diamentu odbijały splot mozolnych życiodajnych kłamstw, dzięki czemu oczy nabrały czystości bardziej nawet przejrzystej, niż może dać prawda.

Sabina chce być taką kobietą, jaką chce w niej widzieć Alan.

Czasem Alan nie jest pewien, czego pragnie. Wtedy niespokojna, wzburzona Sabina w niewiarygodnym bezruchu, czujna, napięta, czeka na każdy znak jego pragnień i marzeń.

Nowe „ja”, które ofiarowuje Alanowi, które dla niego stworzyła, pojawia się zupełnie nieskazitelne, świeższe niż jakakolwiek młoda dziewczyna, bo stanowi ono jakby czystą abstrakcję kobiety, wyidealizowaną postać, zrodzoną nie z tego, czym Sabina jest, ale z pragnień Sabiny i Alana.

Zmienia nawet dla niego swój rytm, opanowuje gwałtowne, niespokojne ruchy, upodobanie do dużych przedmiotów, dużych pokoi, do życia bez czasu, do kaprysów i nagłych postępów. Nawet jej

ręce, z natury stanowcze, przez wzgląd na niego dotykają łagodniej otaczających ją przedmiotów.

— Zawsze chciałaś być aktorką, Sabino. Cieszę się, że twoje pragnienie się spełnia. Wynagradza mi to częste rozstania.

Żeby sprawić mu przyjemność, zaczęła odtwarzać zdarzenia ostatniego tygodnia — podróż do Province-town, zachowanie zespołu, sprawy związane z błędami reżyserii, reakcje publiczności, wieczór, kiedy przepaliły się bezpieczniki, wieczór, kiedy popsuł się system nagłaśniający.

Jednocześnie pragnęła powiedzieć Alanowi, co działo się naprawdę, pragnęła oprzeć głowę na jego ramieniu, jak na zapewniającej bezpieczeństwo ostoji, zapewniającym bezpieczeństwo zrozumieniu, które nie ma nic wspólnego z posiadaniem jej, ale wiąże się z kompletną o niej wiedzą. Pragnęła, aby Alan mógł sądzić jej czyny tak samo bezstronnie i mądrze, jak sądził czyny innych, pragnęła, aby mógł ją rozgrzeszyć, jak rozgrzeszał obcych, znając motywy ich postępowania.

Przede wszystkim pragnęła jego rozgrzeszenia, żeby móc spać.

Wiedziała, co czeka ją zamiast snu — niespokojne nocne czuwanie. Bo kiedy już dla spokoju Alana odtworzyła zdarzenia ostatniego tygodnia, kiedy pocałował ją z wdzięcznością i głodem nagromadzonym podczas jej nieobecności, Alan zapadł ufnie w głęboki sen, całkowicie poddając się nocy, która zwróciła Sabinę, podczas gdy ona leżała, nie śpiąc, zastanawiając się, czy wśród jej zmyśleń nie ma czegoś, co mogłoby ją później zdradzić, zastanawiając się, czy można dowieść, że jej opis hotelu w Provincetown jest fałszywy, że miejsce to zna tylko ze słyszenia.

Zastanawiając się, czy spamięta, co o hotelu mówiła i co mówiła o innych członkach zespołu. Zastanawiając się, czy Alan może kiedyś

spotkać któregoś z tamtych aktorów i odkryć, że Sabina w ogóle nigdy z nimi nie pracowała.

Noc nadeszła tylko niby ciemna scena, na której zmyślone sytuacje nabierały większej ostrości niż za dnia. Sceny, które otaczała ciemność, były jakby ze snu, wyolbrzymione, mocniej zarysowane, nasuwające stale myśl o otchłani ziejącej wokół światła.

Ten pokój, to łóżko otaczała czarna przepaść. Umknęła niebezpieczeństwom jeszcze o jeden dzień, to wszystko. Nowe niebezpieczeństwa czekały Sabinę nazajutrz.

Nocą Sabina dociekała też tajemnicy swojej rozpaczliwej potrzeby dobroci. Tak jak inne kobiety modliły się o to, żeby kochanek ich był przystojny, bogaty, romantyczny lub miał władzę, ona modliła się żarliwie — niech będzie dobry.

Dlaczego tak bardzo potrzeba jej dobroci? Czy jest ułomna? A gdyby zamiast Alana poślubiła mężczyznę brutalnego, okrutnego?

Samo słowo „okrucieństwo” przyprawiło ją o bicie serca. Groza niebezpieczeństw, których uniknęła, była tak wielka, że nawet nie śmiała ich sobie wyobrazić. Pragnęła dobroci i uzyskała ją. I właśnie teraz, kiedy ją znalazła, narażała się na jej utratę co dzień, co godzina, szukając wciąż nowych przygód!

Alan spał spokojnie, nawet we śnie jego ruchy były spokojne. Wyraźny zarys nosa, ust, brody, kanciaste linie ciała, wyrzeźbionego w całości z jakiegoś szlachetnego kruszcu, który nie zwietrzeje. Nawet w chwilach pożądania nie miewał nieprzytomnych oczu, zwichrzonych włosów jak inni mężczyźni. Nigdy nie wpadał w szal z rozkoszy, nie wydawał na pół zwierzęcych dźwięków z dżungli pierwotnego animalizmu człowieka. Czy to ten spokój wzbudził jej zaufanie? Alan nie kłamał. O tym, co czuł i myślał, mógł jej zawsze powiedzieć. Już prawie spała, kiedy na myśl o zwierzeniu,

o wyjawieniu mu prawdy z ciemności wyłonił się wyraźny obraz Alana, który szlochał, szlochał rozpaczliwie tak jak po śmierci swojego ojca. Obraz ten sprawił, że zbudziła się przerażona, pełna współczucia, i znowu myślała: Muszę być zawsze czujna, żeby strzec jego szczęścia, zawsze czujna, żeby strzec swego anioła stróża.

W ciemnościach przeżyła od początku do końca osiem dni spędzonych w Provincetown.

Poszła na wydmy w poszukiwaniu domu O'Neila i zabłądziła. Piaszczyste wydmy były w słońcu tak białe, tak dziewicze, że czuła się niby pierwszy człowiek na szczycie lodowca.

Morze biło o brzeg, jak gdyby usiłowało z powrotem zagarnąć piasek w głąbiny, za każdym razem unosząc z sobą pewną jego ilość tylko po to, żeby w porze przyływu ułożyć go znowu w kształt geologicznych linii, statyczne morze skryształizowanych piaszczystych fal.

Zatrzymała się tam i zdjęła kostium kąpielowy, żeby położyć się w słońcu. Drobinny piasek unoszone przez wiatr powlekały jej ciało niby muślinem. Sabina zastanawiała się, czy piasek nakryłby ją, gdyby została tu dość długo, czy pochłonąłby ją grób utworzony przez naturę. Bezruch zawsze nasuwał jej ten obraz, obraz śmierci, i to właśnie kazało jej wstawać i szukać ruchu. Spoczynek przypominał jej śmierć.

Ale tutaj, w tej chwili ciepła i światła, gdy twarz miała zwróconą ku niebu, a morze podchodziło i cofało się gwałtownie od stóp, obraz śmierci jej nie przerażał. Leżała nieruchomo, patrząc, jak wiatr formuje z piasku desenie, i czuła się chwilowo wolna od niepokoju i podniecenia.

Szczyście określono niegdyś jako przeciwieństwo gorączki. Cóż więc posiadała teraz, kiedy gorączka ustąpiła?

Była wdzięczna, że jej nerwy, zahipnotyzowane uspokajającą potęgą słońca i nieuleczalnym niepokojem morza, nie skręcają się w niej i nie napinają, aby zburzyć ten moment wytchnienia.

I właśnie w tej chwili usłyszała pieśń. Nie była to zwykła piosenka, którą mógłby śpiewać każdy idący plażą. Był to potężny wyszkolony głos, pełen mocy i powagi, przywykły do wielkich sal i licznych audytorium. Ani piasek, ani wiatr, ani morze, ani przestrzeń nie mogły tego głosu osłabić. Rozlegał się pewnie, na przekór im wszystkim, w witalnym hymnie siły równej żywiołom.

Postać zbliżającego się mężczyzny godna była jego głosu, tworzyła doskonałą oprawę tego instrumentu. Nadchodzący miał mocną szyję, dużą głowę o wysokim czole, szerokie ramiona i długie nogi. Idealna obudowa strun głosowych, z dobrym rezonansem, myślała Sabina, która nie poruszyła się, w nadziei, że mężczyzna nie zauważy jej i przejdzie obok, nie przerywając pieśni z *Tristana i Izoldy*.

Brzmienie pieśni sprawiło, że Sabina znalazła się w Szwarzwaldzie z niemieckich baśni, które czytała tak chciwie w dzieciństwie. Drzewa, zamki, jeźdźcy, wszystko nadnaturalnej wielkości w oczach dziecka. Pieśń wznosiła się, potężniała, skupiała cały szum morza, połyskujący złotem karnawał słońca, dorównywała wiatrowi i wypuściła w przestrzeń najwyższe tony niby pomost olśniewającej tęczy. I naraz czar przysł.

Mężczyzna zobaczył Sabinę.

Zawahał się.

Milczenie jej było tak wymowne jak jego pieśń, bezruch Sabiny tak znaczący i pełen treści, jakim był przed chwilą jego głos. (Później powiedział jej: Gdybyś się wtedy odezwała, odszedłbym. Potrafisz sprawić, że wszystko zaczyna mówić za ciebie. Podszedłem właśnie dlatego, że milczałaś).

Pozwoliła mu snuć dalej marzenia.

Patrzyła, jak mężczyzna lekko, bez trudu wchodzi na piaszczystą wydnię, jak się uśmiecha. Przed chwilą widziała morze niby miliony brylantowych oczu, a teraz tylko dwoje bardziej niebieskich, bardziej ziemnych zbliżyło się do niej. Gdyby morze, piasek i słońce stworzyły człowieka, żeby ucieleśnić radość południa, powstałby człowiek taki jak ten.

Stał przed nią, zasłaniając słońce, wciąż uśmiechnięty, kiedy się ubierała. Milczenie dalej przekazywało między nimi sygnały.

— Pieśń o Tristanie i Izoldzie brzmiała tu piękniej niż w operze — powiedziała Sabina. Wkładała kostium kąpielowy i naszyjnik spokojnie, tak jakby skończył się właśnie występ głosu mężczyzny i jej ciała.

Usiadł obok niej.

— Jest tylko jedno miejsce, gdzie brzmi ona lepiej. Sam Szwarzwald, gdzie się ta pieśń narodziła.

Sabina po akcencie poznała, że mężczyzna stamtąd pochodzi i że jego podobieństwo do Wagnerowskiego bohatera to nie przypadek.

— Śpiewałem ją tam bardzo często. W lesie jest echo i miałem wrażenie, że pieśń przenika do ukrytych źródeł, które ją przechowują i z których wytryśnie znowu długo po mojej śmierci.

Sabinie zdawało się, że słyszy echo jego pieśni, słuchając opisu miejsca, gdzie żyły wspomnienia, gdzie sama przeszłość stanowiła bezmierne echo utrwalające doznania; gdy tutaj wszystko dążyło do tego, aby za wszelką cenę wyzbywać się wspomnień, aby żyć tylko chwilą bieżącą, jak gdyby pamięć była jedynie ciężarem i zawadą. To miał na myśli nieznajomy i Sabina go rozumiała.

Naraz ogarnął ją znowu przypływ niepokoju.

— Przejdźmy się — powiedziała niecierpliwie.

- Pić mi się chce -- rzekł mężczyzna. - Wróćmy tam, gdzie siedziałem. Zostawiłem torbę pomarańczy.

Opuścili piaszczyste wydmy, ześlizgując się z nich, jak gdyby to były ośnieżone wzgórza, a oni jechali na nartach. Poszli po mokrym piasku.

- Widziałam kiedyś plażę, na której przy każdym kroku tryskały spod stopy fosforyzujące iskry.

-Jakby dziobały ją piaskowe dziecioty - powiedział niezręcznie śpiewak. Sabinie spodobało się jego skojarzenie i roześmiała się.

- Przyjechałem tu odpocząć przed początkiem sezonu. Jedli pomarańcze, pływali i znów spacerowali. Dopiero o zmierzchu położyli się na piasku. Sądziła, że on uczyni jakiś gwałtowny gest, pasujący do jego dużej postaci, mocnych ramion, muskularnej szyi.

Skierował wzrok prosto na nią, jego oczy, teraz lodowato błękitne, były bezosobowe, zdawały się patrzeć poprzez nią na wszystkie kobiety stopione w jedną, która jednak w każdej chwili może roztopić się znów we wszystkie inne. Było to spojrzenie, po którym Sabina poznawała donżuana zawsze i wszędzie, spojrzeniu temu nie ufała. Alchemia pożądania sprawiała, że przez chwilę Sabina była wcieleniem wszystkich kobiet, ale równie łatwo, w następnym procesie, mogła rozłożyć Sabinę na wiele innych.

Tożsamość Sabiny „niepowtarzalnej”, kochanej przez Alana, została zagrożona. Nieufność wobec spojrzenia mężczyzny sprawiła, że krew zastygła jej w żyłach.

Wpatrywała się w jego twarz, usiłując dociec, czy mężczyzna domyśla się jej niepokoju, czy wie, że jej lęk rośnie z każdą chwilą, że ją niemal paraliżuje.

Ale zamiast gwałtownego gestu mężczyzna ujął w swoje smukłe dłonie czubki jej palców, jakby zapraszał do beztroskiego walca, i powiedział:

— Masz zimne dłonie.

Pieścił jej rękę coraz wyżej, całując zagłębienie łokcia, ramiona.

— Masz takie gorące ciało. Czy nie za długo byłaś na słońcu?

Żeby go uspokoić, powiedziała nieopatrznie:

— Trema.

Roześmiał się na to drwiąco, z niedowierzaniem, jak się tego obawiała.

(Tylko jeden mężczyzna wierzył w jej lęk i w tej chwili Sabina najchętniej uciekłaby do Alana, uciekłaby od tego drwiącego obcego człowieka, którego usiłowała zwieść swoim opanowaniem, swoim mistrzowskim milczeniem, swoimi wiele obiecującymi spojrzeniami. Za trudno było prowadzić dalej tę grę, musiała przegrać. Była już napięta i przerażona. Nie wiedziała, jak odzyskać prestiż w jego oczach, gdy się już przyznała do słabości, której obcy nie potraktował poważnie, która nie harmonizowała z jej prowokującym zachowaniem. Ten drwiący śmiech miała raz jeszcze usłyszeć, kiedy śpiewak zaprosił ją później na spotkanie ze swoim najbliższym przyjacielem, towarzyszem przygód, bratem donżuanem, równie uprzejmym, pełnym uroku i pewności siebie, jak on sam. Traktowali ją wesoło jak kogoś z ich gatunku, jak poszukiwaczkę przygód, łowczynię, kobietę cyniczną i to ją głęboko dotknęło!)

Kiedy mężczyzna spostrzegł, że Sabina nie śmieje się razem z nim, spoważniał, leżąc obok niej, ale ona wciąż jeszcze czuła urazę, a serce jej nie przestawało bić mocno ze zdenerwowania.

— Muszę wracać — powiedziała, wstając i zdecydowanym ruchem strzepując piasek.

Mężczyzna od razu podniósł się z galanterią, zdradzając nawyk ulegania kaprysom kobiet. Wstał i ubrał się, zarzucił na ramię skórzaną torbę i szedł obok Sabiny ironicznie ugrzeczniony, bezosobowy, obojętny.

— Czy miałyby pani ochotę spotkać się ze mną na kolacji w „Smoku”?

— Na kolacji nie, ale później. Koło dziesiątej albo jedenastej.

Znowu uklonił się ironicznie i szedł obok, patrząc spokojnie przed siebie. Jego nonszalancja złościła Sabinę. Znać było po nim absolutną pewność, że zawsze w końcu osiąga to, czego pragnie, Sabinę drażniła ta pewność siebie, której mu zazdrościła.

Kiedy doszli do miejskiej plaży, wszyscy się tam za nimi oglądali.

Jasnowłosa przybysz ze Szwarzwaldu, myślała Sabina, rycerz z baśni czarodziejskiej. Szedł oddychając głęboko, z wypiętą szeroką pierśią, wyprostowany i sprężysty, a do tego z wesołym uśmiechem, który sprawiał, że czuła się radośnie i lekko. Była dumna, że idzie u jego boku, jak gdyby niosła trofeum. Schlebiało to jej kobiecej próżności, zamiłowaniu do podbojów. Ten butny marsz dawał jej złudzenie siły i władzy — oczarowała, zdobyła takiego mężczyznę. Rosła we własnych oczach, chociaż wiedziała, że to uczucie niewiele się różni od upojenia mocnym trunkiem i że zniknie jak ekstaza alkoholowa, pozostawiając ją następnego dnia jeszcze bardziej roztrzęsioną, w istocie jeszcze słabszą, zgębioną, opustoszałą wewnątrz.

To jej wnętrze trawione stałą niepewnością, tę strukturę zawsze bliską załamania, którą tak łatwo było zmiażdżyć ostrym słowem, lekceważącym potraktowaniem, krytyką, prześladowały wizje katastrofy, te same obsesyjne przeczucia, które Sabina słyszała w walcu Ravela. Walc prowadzący do katastrofy — wirujący po lśniących posadzkach w otchłań, mieniające się, powiewne spódnice, szyderczy niby-taniec, którego minorowe dźwięki symulują beztroskę, przypominają zawsze, iż przeznaczeniem człowieka rządzi ostateczny mrok.

Ta wewnętrzna istota Sabiny była chwilowo sztucznie podbudowana dzięki zadośćuczynieniu jej próżności, kiedy ten naprawdę piękny mężczyzna szedł przy niej i każdy, kto go widział, zazdrościł kobiecie, która go urzekła.

Przy pożegnaniu schylił się po europejsku nad jej dłoń z ironicznym szacunkiem, ale w głosie jego zabrzmiały ciepłe tony, kiedy powtórzył: — Przyjdiesz?

Nie wzruszyła jej ani jego uroda, ani doskonałość, ani nonszalancja, ale właśnie ta lekka niepewność. Ponieważ miał przez chwilę wątpliwości, poczuła w nim istotę ludzką, trochę jej bliższą przez utratę zwycięskiej, niewzruszonej buty.

— Przyjaciele czekają na mnie — powiedziała Sabina.

Na to powolny, ale jakże olśniewający uśmiech rozjaśnił mu twarz.

Mężczyzna stanął na baczność i zasalutował:

— Zmiana warty przed pałacem Buckingham!

Z jego ironicznego tonu poznała, że śpiewak nie sądzi, aby miała się spotkać z przyjaciółmi, ale raczej z innym mężczyzną, z innym adoratorem.

Nie wierzył, że chce wrócić do swojego pokoju, żeby zmyć z włosów piasek, posmarować oliwą spieczoną skórę, nałożyć świeżą warstwę lakieru na paznokcie; le- żąc w wannie, chciała przeżyć na nowo każdą chwilę ich spotkania, zgodnie ze swym zwyczajem pragnąc rozkoszować się smakiem upajających wrażeń nie raz, ale dwa razy.

Dziewczynę, z którą dzieliła pokój, mogła uprzedzić zdawkowo, że dziś wieczór wychodzi, ale właśnie na tę noc została u nich trzecia kobieta, znajoma nie tylko Sabiny, ale i Alana, sprawa by się więc skomplikowała. Sabina wiedziała, że znów będzie musiała kraść ekstazę, wydierać nocy rozkosze. Poczekala, aż obie jej to-

warzyszki zasnęły, i cicho wyszła, ale nie skierowała się na ulicę Główną, miejsce spacerów wszystkich jej znajomych, artystów, którzy mogli zaproponować, żeby się do nich przyłączyła. Przeszła przez metalową barierę nabrzeża i zsunęła się po drewnianym słupie, kalecząc dłonie i zahaczając suknią o muszle. Zeskoczyła na plażę. Szła mokrym piaskiem w stronę najjaśniej oświetlonego nabrzeża, gdzie „Smok” oferował swoje płonące neonami ciało spragnionym badaczom nocy.

Nikt z jej znajomych nie ośmieliłby się pójść tam, gdzie nawet fortepian zrzucił skromne okrycie i do ogólnego ruchu dodawał taniec obnażonego mechanizmu, przy czym królestwo pianisty rozszerzyło granice, obejmując nie tylko abstrakcyjne dźwięki, lecz także regularny balet figur szachowych, ułożonych płasko na rozedrganych strunach.

Żeby wejść do nocnego lokalu, musiała wspiąć się po żelaznych szczeblach osadzonych na lśniących palach, o które zaczepiały się jej włosy i suknia. Dotarła na miejsce zdyszana, jak gdyby dała nurka i wypłynęła teraz na powierzchnię, uwolniwszy się z matni wodorostów. Ale nie zauważył jej nikt poza Filipem, punktówka skierowana była na pieśniarza śpiewającego zmysłowy blues.

Rumieniec radości widać było wyraźnie na twarzy Sabiny mimo opalenizny. Filip przysunął jej krzesło i nachylił się, żeby szepnąć:
- Bałem się, że nie przyjdiesz. Kiedy przechodziłem o dziesiątej obok twojego domu, nie widziałem nigdzie światła, podszedłem więc do okna i zapukałem, dość lekko, bo słabo widzę w nocy, a mogłem się pomylić. Nikt nie odpowiedział. Potykałem się w ciemnościach... czekałem... Zdjęta strachem, że Filip mógł obudzić jej współmieszkanki, wobec groźby wykrycia, które ją cudem

ominęło, Sabina uczuła rosnące podniecenie, wrzenie krwi wywołane niebezpieczeństwem. Uroda mężczyzny w nocy nabrała cech narkotyku, myśl o tym, jak szukał jej oślepiony mrokiem, wzruszyła i rozbroiła Sabinę. Oczy jej pociemniały, otoczyły je czarne obwódki niczym u kobiet Wschodu. Powieki miały niebieskawy odcień, a nie regulowane brwi rzucały cień, który sprawiał, że ciemne błyski oczu zdawały się tryskać z głębszej toni niż za dnia.

Chłoneła wzrokiem jego rzeźbione rysy, kontrast pomiędzy silną głową a smukłymi, nieowłosionymi rękami, pokrytymi najdelikatniejszym meszkiem. Nie tylko gładka jej ramię, ale zdawało się, że z maestrią wirtuoza przyciska ukryte nerwy-struny dobrze znanego instrumentu. — Twoje ramię jest równie piękne jak twoje ciało. Gdybym nie znał twojego ciała, pragnąłbym go, widząc tylko kształt twojego ramienia — mówił.

Pożądanie utworzyło wulkaniczną wyspę, na której legli w transie, czując pod sobą podziemne wiry, parkiet, stolik, magnetyczny blues — wszystko unoszone prądem pożądania, lawiny dreszczy przeszywających ciało. Pod gładką skórą, pod runią włosów osłoniętych ubraniem, przez wzgórza i doliny mięśni płynął potok wulkanicznej lawy, płomienne pożądanie, a tam, gdzie płonęło, dźwięki śpiewanego bluesa zamieniały się w ostry krzyk puszczy, ptasi i zwierzęcy nieokiełzany krzyk rozkoszy, i krzyk zgrozy, i krzyk przerażenia, i krzyk położnicy, i krzyk rannego, chrapliwy dźwięk dobywający się wciąż z tych samych wciągających głębi natury.

Drżące przeczucia ogarniające ręce, ciało sprawiły, że taniec stał się nie do zniesienia, czekanie nie do zniesienia, palenie i rozmowa nie do zniesienia, wkrótce miał nastąpić nieposkromiony atak erotycznego kanibalizmu, radosna epilepsja.

Uciekli sprzed oczu świata, od proroczych, natrętnych, zmysłowych prologów pieśniarza. W dół po zardzewiałych szczeblach drabin w podziemia nocy sprzyjającej pierwszemu mężczyźnie i pierwszej kobiecie na początku świata, kiedy nie było słów, którymi się można nawzajem posiąść, ani muzyki, żeby śpiewać serenady, ani darów, żeby zabiegać o względy, ani turniejów, żeby zachwycać i zdobywać przychylność, żadnych sposobów pośrednich, ozdób, naszyjników, koron do zdobycia, lecz tylko jeden rytuał, upojne, upojne, upojne wbijanie kobiety na męski gorący pał.

Sabina otworzyła oczy, żeby przekonać się, że leży na dnie żaglówki, leży na płaszczu Filipa chroniącym ją rycersko przed piaskiem, przeciekającą wodą i małżami. Filip leży obok niej, tylko że głowa jego jest wyżej, a nogi sięgają dalej. Filip śpi ukontentowany, oddychając głęboko. Sabina siada w świetle księżyca, zła, niespokojna, z uczuciem porażki. Gorączka osiągnęła swój szczyt i opadła, oddzielając się od pożądanego, pozostawiając je nie spełnione, jałowe. Wysoka gorączka i żadnego rozładowania — złość, złość — na to coś twardego w jej wnętrzu, co nie daje się stopić, podczas gdy Sabina pragnie być jak mężczyzna, wolna, aby pożądać i posiadać, zależnie od kaprysu doznawać rozkoszy z kimś obcym. Ciało Sabiny nie ulegnie, nie spełni jej marzenia o wolności. Okpiło ją z przygody, do której dążyła. Gorączka, nadzieja, miraż, rozbudzone pożądanie będą jej towarzyszyć, nie spełnione przez całą noc i nadchodzący dzień, płonąc niegasnącym blaskiem, sprawiając, że kto ją zobaczy, powie: „Co za temperament!”

Filip obudził się i uśmiechnął z wdzięcznością. Dał, wziął i był kontent. Sabina leżała, myśląc, że nie zobaczy go już więcej, i rozpaczliwie pragnęła znów się z nim spotkać. On zaczął opowiadać o swoim dzieciństwie, o tym, jak bardzo lubi śnieg. Przepada za jazdą na nartach. Nagle, ni stąd, ni zowąd, jakaś myśl zakłóciła idylliczne wspomnienia. — Kobiety nigdy nie dają mi spokoju — powiedział.

—Jeżeli zechcesz kiedyś spędzić trochę czasu z kobietą, która nie zawsze będzie wymagała od ciebie dowodów miłości, przyjdź do mnie. Ja zrozumieć.

—Jesteś wspaniała, że to mówisz. Kobiety czują się okropnie dotknięte, jeżeli nie zawsze jest się gotowym i w odpowiednim nastroju, żeby grać rolę romantycznego kochanka, zwłaszcza gdy się na takiego wygląda. I te właśnie słowa Sabiny przywiodły go znów nazajutrz. Zwierzył się jej wtedy, że z zasady spędza z kobietą tylko jeden wieczór, bo: „Potem zaczynają się wymagania, pretensje”...

Przyszedł i ruszyli na wydmy. Był rozmowny, ale wciąż bezosobowy. Sabina żywiła w duchu nadzieję, że może on coś powie, stopi jej nieustępliwą, zimną twardość, może ją rozbudzi, może przełamie jej opór. Ale wkrótce niedorzeczność własnych oczekiwań wprawiła ją w zdumienie — szuka innego rodzaju zespolenia, bo nie osiągnęła go na płaszczyźnie zmysłów, gdy przecież chodziło jej właśnie o zespolenie zmysłowe, pragnęła być wolna jak mężczyzna, szukać przygód, zaznawać do woli rozkoszy, wyzbywając się wszelkich zależności i trosk związanych z miłością.

Przez chwilę te miłosne niepokoje wydały się jej zbliżone do odczuć narkomanów, alkoholików, hazardzistów. Ten sam nieodparty impuls, napięcie, przymus, a później depresja po kapitulacji wobec impulsu, odraza, gorycz, depresja i znów przymus...

Trzykrotnie morze, słońce i księżyc były szyderczymi świadkami jej wysiłków, żeby naprawdę zdobyć Filipa, przeżyć tę przygodę, osiąść mężczyznę, którego tak zazdrościły jej inne kobiety.

A teraz przez miasto spowite jesienną purpurą, po telefonie Filipa, szła do jego mieszkania. Dzwoneczki indyjskiego pierścionka, który od niego dostała, pobrzękiwały wesoło.

Przypomniała sobie obawy, że Filip zniknie wraz z latem. Nie poprosił o jej adres. Dzień przed jego odjazdem przyjechała do niego znajoma. Filip mówił o tej kobiecie powściągliwie. Sabina domyśliła się, że to jest właśnie ta najważniejsza. Kobieta była śpiewaczką, Filip ją uczył, łączyła ich muzyka. Sabina słyszała w jego głosie szacunek, którego sama budzić nie lubiła, ale który brzmiał też w głosie Alana, kiedy mówił o niej. Do tej drugiej kobiety Filip miał stosunek serdeczny, jaki Alan miał do Sabiny. Mówił tkliwie o jej słabym zdrowiu -mówił o tym Sabinie, która tak zawzięcie ukrywała przed nim, że marznie, kiedy pływają, męczy się podczas zbyt długich spacerów, dostaje gorączki, kiedy za długo przebywa na słońcu.

Sabina wymyśliła sobie zabobonną grę - jeżeli ta kobieta okaże się piękna, Sabina nigdy już nie zobaczy Filipa. Jeżeli nie jest piękna, jeżeli Filip kocha ją naprawdę, Sabina może być zachcianką, kaprysem, narkotykiem, gorączką.

Wygląd kobiety zaskoczył Sabinę. Nie była piękna. Była blada, niepozorna. Ale w jej obecności Filip stał miękko, szczęśliwy, ściszony w tym szczęściu, mniej napięty i mniej wyniosły, troskliwy i pogodny. Jego lodowatoniebieskie oczy nie rzucały błyskawic, ale płonęły miękkim światłem wczesnego poranka.

I Sabina zrozumiała, że kiedy Filip zapragnie żaru namiętności, to ją przywoła.

Zawsze, kiedy czuła się zagubiona w nieskończonych pustyniach bezsenności, podejmowała na nowo nić wiodącą przez labirynt swego życia, żeby sprawdzić, czy może odnaleźć punkt, w którym zmyliła drogę.

Tej nocy przypomniała sobie kąpanie się nago w promieniach księżyca, tak jakby początek jej życia zaznaczyły właśnie te kąpiele, a nie rodzice, szkoła, miejsce urodzenia. Tak jakby właśnie one zaciążyły na jej losie bardziej niż dziedzictwo genetyczne lub naśladowanie rodziców. Być może w owych kąpielach kryły się tajemne załączki jej postępowania. Mając szesnaście lat, Sabina zażywała kąpeli w tych promieniach po pierwsze dlatego, że wszyscy inni zażywali kąpeli słonecznych, a po drugie, do czego się przed sobą przyznawała, dlatego, że ją przed tym ostrzegano. Wpływ tych księżycowych kąpeli był nieznany, dawano jednak do zrozumienia, że był odwrotny niż działanie słońca.

Za pierwszym razem, kiedy się obnażyła, czuła lęk. Co z tego wyniknie? Wiele tabu dotyczyło patrzenia na księżyc, wiele dawnych legend mówiło o złych skutkach zasypiania w jego świetle. Sabina wiedziała, że szaleńcy podczas pełni odczuwają najsilniejszy niepokój, że niektórzy z nich powracają do zwierzęcych odruchów i wyją do księżyca. Wiedziała, że według astrologów księżyc rządzi nocnym życiem podświadomości, nieuchwytnym dla świadomości.

Ale przecież zawsze wołała noc od dnia.

W lecie światło księżyca padało wprost na jej łóżko. Sabina godzinami leżała w nim naga, zanim zasypiała, myśląc o tym, jak księżycowe promienie działają na jej skórę, włosy, oczy i głębiej, na jej uczucia. Miała wrażenie, że ten rytuał nadał jej skórze szczególny połysk, połysk nocny, sztuczną świetlistość, która ujawniała się w pełni tylko nocą, w świetle lamp. Ludzie zauważyli to i pytali, co się dzieje. Niektórzy przypuszczali, że Sabina używa narkotyków.

To wzmogło jej upodobanie do tajemnic. Rozmyślała o tym ciele niebieskim, którego połowę kryły ciemności. Czuła się związana z księżycem, bo była to planeta kochanków. To upodobanie, pragnienie kąpania się w księżycowych promieniach tłumaczyły niechęć do posiadania domu, męża i dzieci. Sabina zaczęła sobie wyobrażać, że zna życie, które toczy się na księżycu. Bezdomni, bezdziejni, wolni kochankowie, nie skrepowani więzami nawet wobec siebie nawzajem. Kąpiele w promieniach księżyca skryzalizowały wiele pragnień i dążeń Sabiny. Do tej chwili odczuwała tylko zwykły bunt przeciwko życiu, jakie ją otaczało, ale teraz zaczęła dostrzegać formy i barwy egzystencji innej, królestwa dużo głębsze, bardziej niezwykle i niedostępne, a także przekonała się, że brak akceptacji powszedniego życia ma jakiś cel - wysłać ją niby raketą do innych form istnienia. Bunt był tylko elektryzującym tarcie gromadzącym ładunek energii, który wystrzelił ją w przestrzeń.

Zrozumiała, dlaczego gniewa ją, kiedy ludzie mówią o życiu jak o życiu jedynym. Przekonała się, że w jej własnym wnętrzu mieszczą się miliardy istnień. Inaczej pojmowała teraz czas. Z dotkliwym żalem odczuwała znikomość fizycznego trwania życia ludzkiego. Śmierć była przerażająco bliska, a podróż do niej zawrotnie szybka; ale tylko wtedy, kiedy Sabina brała pod uwagę

życie płynące wokół niej, uznając rozkłady zajęć, zegary, system miar. Wszystko, co ludzie robili, powodowało kurczenie się czasu. Mówili o jednym narodzinach, jednym dzieciństwie, jednym dojrzewaniu, jednej miłości, jednym małżeństwie, jednej dojrzałości, jednym starzeniu się, jednej śmierci i przekazywali ten monotony cykl swoim dzieciom. Ale Sabina, zasilona promieniami księżyca, czuła, że kiełkuje w niej moc wydłużania czasu w rozgałęzieniach niezliczonych postaci życia i miłości, rozciągania podróży w nieskończoność, pozwalając sobie rozrzutnie na kosztowne postoje i objazdy niczym kurtyzana, będąca naczyniem gromadzącym w sobie żądze nieprzebranej rzeszy mężczyzn. Promienie księżyca ożywiły w niej zalążki wielu istnień, miejsc, wielu kobiet, bo promienie te pochodziły z bezkresnego życia nocy, które znamy zwykle tylko ze snów; życia sięgającego korzeniami do wszystkich skarbów przeszłości, przenoszącego bogate złoża w teraźniejszość, wysyłającego je w przyszłość.

Obserwując księżyc, Sabina zyskała pewność, że czas można wydłużać poprzez głębię doznań, rozpiętość i nieograniczoną mnogość doświadczeń.

To właśnie ten płomień rozniecił się w niej, w jej oczach i skórze, trawiąc ją niby tajemna gorączka, a matka spoglądała na nią gniewnie, mówiąc: „Wyglądasz jak suchotnica”. Płomień przyspieszonego gorączką życia jaśniał w niej i przyciągał ludzi, jak światła nocnego życia przyciągają przechodniów z ciemności pustych ulic.

Kiedy w końcu zasypiała, był to czujny sen nocnego stróża i ani na chwilę nie opuszczało jej poczucie zagrożenia, świadomość perfidii czasu, który usiłuje ją okraść, pozwalając zegarom wybijać mijające godziny, gdy ona nie może przytomnie ogarnąć myślą ich treści.

Patrzyła, jak Alan zamyka okna, patrzyła, jak zapala lampy i zamyka drzwi prowadzące na werandę. Urocze, najmiłsze odosobnienie, a jednak Sabina zamiast leniwie zapaść się w przytulne ciepło, poczuła naraz gwałtowny niepokój, jak statek szarpiący się na uwięzi cum.

Obraz skrzypiącego, rozkołysanego statku przyplynał na falach *Llle joyeuse* Debussy'ego, które spowiły Sabinę mgłą i oparami odległych wysp. Imitujące dźwięki nadchodziły ciężkie niby karawana ze złotymi mitrami, kielichami, która wiezie zapowiedź rozkoszy i sprawia, że miód tryska spomiędzy ud, a na męskich ciałach leżących na plaży wyrastają erotyczne minarety. Wyrzucone na brzeg odłamki witraży rozszczepionych strzałami słońca, fale i przypląwy zmysłowości okrywają ich ciała, a w każdej nadbiegającej fali kryje się pożądanie złożone niczym miech harmonii - zorza polarna we krwi. Sabina widziała niedościgły taniec, do którego mężczyźni i kobiety przystroili się w godowe barwy, a wesołość tańczących, ich wzajemny stosunek, wszystko to wydawało się jej wspaniałe, niezrównane.

Chęć znalezienia się tam, gdzie jest piękniej, sprawiła, że bliskie i namacalne zaczęło się Sabinie wydawać przeszkodą, opóźnieniem w drodze do jaśniejszego życia, które ją czekało, do trwających w oczekiwaniu promiennych postaci.

Otoczającą ją rzeczywistość - Alana o nadgarstkach porośniętych jedwabistymi brązowymi włoskami, o długiej szyi, pochylonej zawsze ku niej niczym istne drze-

wo wierności — niweczyło uporczywe, poszeptujące natrętnie marzenie, kompas wskazujący mirażę płynące z muzyki Debussy'ego niczym nieprzerwane wołanie, wabienie; głos ten brzmiał słabiej, kiedy Sabina nie wsłuchiwała się całym swoim jestestwem, kroki stawały się lżejsze, kiedy za nimi nie podążała, obietnice, westchnienia rozkoszy stawały się wyraźniejsze, kiedy bezpośrednio poprzez zmysły mogły wnikać głębiej do jej ciała, niosąc na kolorowych baldachimach gondoli trzepotanie chorągiewek i urywki serenad.

Clair de lune Debussy'ego wyrywało z mroku inne miasta...

Sabina chciała się znaleźć w Paryżu, w mieście życzliwym dla zakochanych, gdzie policjant uśmiecha się rozgrzeszająco, a taksówkarz nie przerwie nigdy pocałunku...

Clair de lune Debussy'ego oświetlało wiele obcych twarzy, wiele Wysp Szczęśliwych, festiwale muzyczne Szwarzwaldu, marimby grające u stóp dymiących wulkanów, szaleńcze, odurzające tańce Haiti, a Sabiny tam nie było. Leżała w pokoju przy zamkniętych oknach, w świetle lamp. Muzyka znużyła się już nawoływaniem, czarne nuty skłoniły się ironicznie przed jej inercją, układając się w pawanę żegnającą zmarłą infantkę, po czym się rozpląnęły. Teraz Sabina słyszała już tylko na Hudsonie we mgle sygnały statków, którymi nigdy nie będzie jej dane popłynąć.

Sabina wyszła z domu tydzień później, ubrana w fiolety i zaczęła na jeden z jeżdżących Piątą Aleją autobusów, w których wolno było palić. Kiedy już usiadła, otworzyła przeładowaną torebkę, wyjęła indyjski pierścionek z miniaturowymi dzwoneczkami i włożyła go zamiast obrączki. Obrączkę wepchnęła na dno torby. Teraz każdemu ruchowi Sabiny towarzyszyło pobrzękiwanie dzwoneczków.

Przy Sześćdziesiątej Czwartej ulicy wyskoczyła, zanim autobus się zatrzymał. Chód jej zmienił się zupełnie. Szła teraz szybko, swobodnie. Biodra tętniły siłą i życiem. Stawiała na ziemi całe stopy jak Latynosi i Murzyni. W drodze do Alana szła zgarbiona, teraz natomiast wyprostowała się, oddychając głęboko, czując, jak piersi rozpierają fioletową suknię.

Rozkołysany chód brał początek z miednicy i bioder, falowanie mięśni płynęło od stóp do kolan, do bioder i z powrotem do pasa. Sabina szła całym ciałem, jak gdyby chciała nabrać rozpędu do wyczynu, w którym miało ono wziąć udział. W twarzy Sabiny nie było zakłopotania, płonął w niej żar, co sprawiało, że ludzie przystawali i spoglądali na nią, jak gdyby przyciągani magnesem.

Wieczne światła już się paliły i Sabina o tej porze czuła się tak jak miasto, jak gdyby zapalono w niej naraz wszystkie światła i zapanowała wielka jasność. Światła płonęły w jej włosach, w oczach, na paznokciach, w fałdach jej fioletowej sukni. Teraz wydawała się czarna.

Kiedy w końcu Sabina doszła do celu, uświadomiła sobie, że nie wie nawet, czy Filip mieszka sam.

Zaprowadził ją do swego pokoju, który do niego pasował i wyłącznie dla niego był urządzony. Na ścianach wisiały narciarskie trofea, na wiedeńskiej adamaszkowej zasłonie przyczepiono całą armię maleńkich żołnierzyków uformowanych w szeregi. Na fortepianie stosy porozrzucanych nut, a w samym środku pokoju, pod zwisającym z sufitu otwartym parasolem, częściowo zmontowany teleskop.

— Chcę oglądać gwiazdy przez własny, ręcznie zrobiony teleskop. Teraz szlifuję soczewkę. To zabiera moc czasu i wymaga wielkiej cierpliwości.

— Ale ten parasol! — zawołała ze śmiechem Sabina.

— Dzieci w mieszkaniu nade mną wciąż skaczą i drobne kawałki tynku spadały mi na szkło, robiąc rysy. Najdrobniejszy pyłek może zmarnować efekt całodziennego polerowania.

Sabina rozumiała go. Rozumiała, że on pragnie oglądać planety przez własnoręcznie skonstruowane urządzenie. Bardzo by chciała zobaczyć gotowy aparat i pytała, ile czasu jeszcze na to potrzeba. Zajęci teleskopem zachowywali się jak przyjaciele, porzucili na chwilę ekscytujące wyzwania i prowokacje.

W tym nastroju rozebrali się. Filip bawił się jak dziecko, robiąc przeróżne miny. Lubił być śmieszny, jak gdyby nużyła go własna wiecznie nieskazitelna uroda. Potrafił zamienić się w Frankensteina.

Sabina śmiała się, ale z przymusem, bojąc się, że jeśli uroda jego zniknie naprawdę, ona nie będzie go już pożądać, zdawała sobie przecież sprawę, że pożądanie to jest ulotne i kruche. Gdyby śpiewak z baśniowego Szwarzwaldu, piewca Tristana i Izoldy, zniknął, któż byłby przedmiotem jej pragnień?

Po chwili chłodne oczy Filipa spostrzegły w jej spojrzeniu napięcie i to go podnieciło. Obojętność jego przerodziła się w żar pod wpływem namiętności, która nurtowała Sabinę. Filip nie wymagał od kobiet płomieni uczucia ani jego wybuchów, ale chciał wiedzieć, że to uczucie istnieje. Pragnął wyzwalać je tylko w mrocznych odmętach kobiecego ciała, nie budząc jednak serca, które mogłoby się stać ciężarem. Często wyobrażał sobie, że bierze w posiadanie kobietę, która ma ręce związane z tyłu.

Widział kiedyś, jak ciężka, burzowa chmura osiadła na dwugarbnej górze, przywierając do niej tak mocno, że przypominało to uścisk. Filip powiedział wtedy: „Cudowne spółkowanie, góra nie ma rąk!”

Teraz znużył się już zabawą w miny i odzyskując doskonałość rysów, pochylił się nad Sabina, żeby złożyć hołd jej ciału.

I wtedy stało się to jak cud, ta wibracja rozkoszy, której wywołać nie są w stanie najwspanialszy muzycy, osiągnięcia sztuki, nauki lub wojen ani też najwspanialsze piękno przyrody. Ekstaza zamieniająca ciało w wysoką wieżę sztucznych ogni, wybuchających stopniowo poprzez zmysły w fontannach rozkoszy.

Sabina otworzyła oczy, żeby nacieszyć się oszałamiającym zwycięstwem wyzwolenia — była wolna, wolna jak mężczyzna, mogła doznawać rozkoszy bez miłości.

Bez żadnego ciepła w sercu, zupełnie jak mężczyzna, doświadczyła rozkoszy z obcym.

I wtedy przypomniało się jej to, co często słyszała od mężczyzn: — „Potem chciałem natychmiast odejść”.

Spojrzała na obcego mężczyznę, który leżał obok, i zobaczyła tylko posąg, którego nie miała już ochoty dotknąć. Jak posąg był jej daleki, obcy, a w niej wzbierało coś na podobieństwo gniewu, żalu, pragnęła niemal odebrać swój dar, zetrzeć każdy jego ślad, wypę-

dzić go ze swego ciała. Chciała szybko i dokładnie odgrodzić się od tego mężczyzny, rozplątać i oddzielić to, co przez chwilę stanowiło jedność — oddechy, skórę, cielesne zapachy.

Ostrożnie wstała z łóżka, ubrała się bezszelestnie, podczas gdy on spał. Na palcach poszła do łazienki.

Na półeczce znalazła puder, grzebień, szminkę w różowej oprawce. Uśmiechnęła się do nich. Żona? Kochanka? Jak dobrze było myśleć o tych przedmiotach bez cienia żalu, zawiści lub zazdrości. To właśnie była wolność. Wolność od przywiązania, zależności i cierpień. Sabina odetchnęła głęboko i poczuła, że odkryła to źródło rozkoszy na dobre. Dlaczego było to takie trudne? Tak trudne, że często tę rozkosz symulowała?

Kiedy czesała włosy, malowała na nowo rzęsy, cieszyła się, że jest w łazience, tej neutralnej strefie bezpieczeństwa. Krążąc pomiędzy mężczyznami, kochankami, zawsze z przyjemnością wkraczała w naturalne strefy bezpieczeństwa (autobus, taksówka, droga od jednego partnera do drugiego, a w tej chwili ta łazienka), w których nie groziło jej nic złego. Gdyby kochała Filipa, jakże głęboko zraniłaby ją obecność każdego z tych przedmiotów — pudru, szpilek do włosów, grzebienia. (Nie należy mu ufać. Jestem tu tylko chwilowo. W drodze do innego miejsca, do innego życia, gdzie on nawet nie mógłby mnie znaleźć ani rościć sobie do mnie praw. Jak dobrze jest nie kochać, pamiętam oczy kobiety, która spotkała Filipa na plaży. Było w nich przerażenie, kiedy spojrzała na mnie. Zastanawiała się, czy jestem tą, która go zabierze. I jak przerażenie to znikło, kiedy Fifip powiedział: „Przedstawiam ci donnę Juanę”. Kobieta zrozumiała jego ton i w oczach jej nie było już lęku). Jakże nowa była pewność siebie, którą odczuwała Sabina, sznurując sandały, zarzucając pelerynę i przyglądając długie proste włosy. Wolność Sabiny nie tylko

chroniła ją przed niebezpieczeństwami, ale też pozwalała jej szybko odejść. Tak właśnie to odczuwała. (Filip zauważył, że nigdy nie widział kobiety, która by się tak szybko ubierała, kobiety, która by tak prędko zbierała swoje rzeczy, nigdy nic nie zapominając!)

Jak dobrze nauczyła się niszczyć miłosne listy, spuszczać je z wodą w toalecie, usuwać włosy z pożyczanych grzebieni, zbierać szpilki do włosów, ścierać ze wszystkiego ślady szminki, strzepywać osad pudru. Oczy jej są jak oczy szpiega.

Zwyczaje jak zwyczaje szpiega. Sposób, w jaki układa swoje ubranie na jednym krześle, jakby mogła być nagle wezwana i jakby nie wolno jej było zostawić po sobie żadnych śladów.

Zna wszystkie fortele tej miłosnej wojny.

I jej strefa neutralna, chwila, kiedy nie należy do nikogo, kiedy jej rozproszone „ja” stapia się znowu w jedność. Chwila niekochania, niepożądania. Chwila, kiedy ucieka, gdy mężczyzna zachwycił się przechodzącą obok kobietą lub mówił za długo o starej miłości, o małych pretensjach, małych urazach[^] obojętności, małej niewierności, małej zdradzie — to wszystko mogło zapowiadać podobne, lecz być może większe przykrości, które zneutralizować mogła tylko jej niewierność równa lub większa albo zupełna — jej własne najdoskonalsze antidotum, przygotowane z góry na wszelki wypadek. Sabina gromadziła zapas zdrad, przygotowując się na cios. „Byłam przygotowana na uderzenie. Nie spadło niespodziewanie na moją prostoduszność, na moją niemądrą ufność. Ja zdradziłam wcześniej. Żeby zawsze uprzedzać, nieco uprzedzać zdrady, których można się po życiu spodziewać. Żeby być tą pierwszą, a więc przygotowaną...”

Kiedy wróciła do pokoju, Filip jeszcze spał. Zbliżał się wieczór i chłodniejsze, deszczowe powiewy docie-

rały do łóżka, ale Sabina nie miała chęci okryć Filipa albo go ogrzać. Nie było jej w domu dopiero od pięciu dni, ale przez te wszystkie emocje i doświadczenia, które się w nich zawarły, przez owo zdobywanie i badanie nie znanych dotychczas terenów we własnym wnętrzu, Sabinie zdawało się, że minęły lata. Obraz Alana odsunął się daleko w przeszłość i ogarnął ją wielki lęk, że może na zawsze Alana utracić. Pięć dni, w których tak wiele przemian zaszło w ciele i uczuciach Sabiny, stawało się długim okresem rozłąki, oddzielało ją od Alana bezkresną dalą. Niektóre drogi obierane pod wpływem impulsu uczuciowego zarysowały się też na mapie serca, zbaczając na peryferie i prowadząc w końcu na wygnanie.

Wiedziona tym lękiem, Sabina wróciła do domu.

— Sabina! Tak się cieszę. Spodziewałem się ciebie dopiero za tydzień. Co się stało? Chyba nic złego?

Alan był na miejscu. Pięć dni nie zmieniło mu głosu ani szczerości spojrzenia. Mieszkanie się nie zmieniło. Ta sama książka leżała otwarta przy łóżku, te same gazety nie zostały jeszcze wyrzucone. Alan nie zjadł jeszcze wszystkich owoców, które kupiła ostatnim razem. Ręce Sabiny pieściły przepełnione popielniczki, palce rysowały rzeki zadumy na warstwie kurzu, który pokrył stół. Tutaj życie biegło jednostajnym trybem, usystematyzowane, bez zawrotnych wzlotów i upadków.

Kiedy Sabina tu stała, reszta jej życia wydawała się urojeniem, snem. Sabina ujęła dłoń Alana i poszukała znajomego pieprzyka na nadgarstku. Miała ochotę wykapać się, zanim Alan jej dotknie, zmyć z siebie dokładnie ślady innych miejsc, innych rąk, innych zapachów.

Alan przygotował dla niej niespodziankę — kilka płyt z bębnami i śpiewem z *L'Île joyeuse*. Razem słuchali bębnów, które brzmiały najpierw cicho jak dźwięki do-

chodzące z odległej wioski, stłumione w gąszczach dżungli. Z początku jak kroki małych dzieci biegnących przez suche sitowie, później jak ciężkie kroki po wydrążonych pniach, jeszcze później mocne uderzenia palców w skórę bębnów i nagle hałaśliwy tupot wielu nóg, klepanie i bicie pięściami w zwierzęce skóry wprawiane w drganie i trącane tak szybko, że nie ma czasu na echo. Sabina widziała hebanowe i cynamonowe ciała jakby pozbawione kości; ciała lśniące od morskich kąpiei, ciała skaczące i tańczące tak szybko jak paciorki uderzeń w bębny; ciała szmaragdowe, indygo, pomarańczowe, ciała we wszystkich kolorach owoców i kwiatów, jaskrawy eukaliptus cielesności.

Były to krainy, gdzie ciałem rządził tylko rytm krwi, gdzie człowiek utożsamiał się z pędem wiatru, hukiem fal, orgiami słońca. Soczyste głosy śpiewały radośnie... *kaskabel... gajabana... czinczinigrajts...*

— Chciałabym, żebyśmy mogli tam razem pojechać — powiedziała Sabina.

Alan spojrzał na nią z wyrzutem, jakby przykro mu było, że musi jej przypomnieć:

— Nie mogę przerwać pracy. Może później w tym roku...

Sabina utkwiała wzrok w jednym miejscu, Alan odczytał w tym zawód i dodał:

— Sabino, proszę cię, bądź cierpliwa.

Ale to nie uczucie zawodu sprawiło, że oczy Sabiny znieruchomiały. Był to trans wizjonerski. Sabina patrzyła, jak miraż obleka się w kształty, jak rodzą się ptaki o nowych nazwach — *kaczaczito, pito real*. Ptaki te przysiadają na drzewach zwanych *liquidambar*; a nad głową Sabiny rozpościerał się dach z trzciny i palmowych liści. Później to za zawsze za późno. Później nie istnieje. Trzeba tylko pokonać wielką odległość, żeby osiągnąć to, co niedostępne. Bicie bęb-

nów niosło zapach cynamonowych skór w tańcu podobnym do bicia serca. Wkrótce zabrzmiał w nim zaproszenie, któremu Sabina się nie oprze. Kiedy Alan znowu spojrzał na jej twarz, powieki miała spuszczone, jak gdyby na znak posłuszeństwa. Alan poczuł, że groźba wyjazdu została odsunięta przez nagłą uległość. Nie zorientował się, że bierność Sabiny sama w sobie jest już formą nieobecności. Sabina przebywała już na L'île joyeuse.

Może właśnie dlatego, kiedy idąc ulicą McDougalla, usłyszała bębny, wydało się jej naturalne, że musi się zatrzymać, zejść po stromych schodkach do piwnicy i usiąść na jednym z bębnow krytych futrem. Grający na bębnach pochłonięci byli bez reszty rytuałem, każdy z nich wprawiał się w trans. Z kuchni dochodziły zapachy egzotycznych przypraw, a nad dymiącymi półmiskami tańczyły złote kolczyki. Głosy zaczęły pieśń do Alalle, stały się ptasim, zwierzęcym nawoływaniem, wodospadami uderzającymi o skały, trzciniami zanurzającymi swoje palczaste korzenie w wodach laguny. Bicie w bębny było tak szybkie, że piwnica zamieniła się w las stepującego listowia, w melodie wiatru sławiące Alalle, boga rozkoszy.

Pośród ciemnych twarzy była jedna blada. Babka z Francji albo Hiszpanii i oto strumień bieli został wlany do kotła hebanu, nie zmieniając czarnych włosów, ale nadając im głębię czarnego lustra. Głowa mężczyzny była okrągła, czoło szerokie, policzki pełne, spojrzenie łagodne i żywe. Uderzenia palców w bęben sprężyste, lecz płynne, pełne namiętności pulsującej od bioder i ramion.

Sabina wyobraziła sobie, jak ten mężczyzna pływa, siedzi w kucki przy ognisku na plaży, skacze, wdrapuje się na drzewa. Miał gibkie, gładkie — jakby bez kości — ciało wyspiarza z mórz południowych, mięśnie silne, ale niewidoczne jak u kotów.

Jaśniejsza barwa jego twarzy łączyła się też z niewzruszoną pewnością ruchów, wyróżniających się na tle nerwowego *staccato* innych członków zespołu. Pochodził z wyspy łagodnej, wyspy łagodnych wiatrów i ciepłego morza, gdzie przemoc trwała w zawieszeniu i wybuchała tylko okresowo. Życie było zbyt miłe, zbyt usypiające, zbyt odurzające na stały gniew.

Kiedy przestali grać, usiedli przy pobliskim stoliku i rozmawiali, posługując się uroczystym językiem szesnastowiecznych hiszpańskich kolonizatorów, górnolotnym językiem dawnych ballad. Ich niezwykle wręcz ugrzecznienie wywołało uśmiech na usta Sabiny. Styl narzucony afrykańskiej głuszy przez zdobywców sprawiał wrażenie barokowych ornamentów na chatach krytych palmowymi liśćmi. Jeden z mężczyzn, najciemniejszy, nosił sztywny biały kołnierzyk i miał przy krześle parasol z długą rączką. Kapelusz trzymał troskliwie na kolanach i żeby nie pognieść świeżo wyprasowanego garnituru, grał poruszając samymi tylko dłońmi, obracał w prawo i w lewo głowę w wykrochmalonym kołnierzyku, a ramiona miał nieruchome jak tancerka z wyspy Bali. Sabina miała wielką chęć przełamać ich ugrzecznienie, jakimś wybrykiem naruszyć gładką powierzchnię dobrych manier. Kiedy strzepywała popiół z papierosa, indyjski pierścionek od Filipa zadzwonił leciutko. Muzyk o jasnej twarzy obejrzał się z uśmiechem, jak gdyby ten nikły dźwięk był dalekim echem jego perkusji. Kiedy wrócił do śpiewu, oczy ich połączyła niewidzialna nić. Sabina nie przyglądała się już jego dłoniom na skórze bębna, ale ustom. Były pełne, a mimo to, choć duże, zarysowane wyraźnie. Układ ich przywodził na myśl kuszący owoc. Wargi nie przylegały do siebie

mocno, nie zaciskały się nawet leciutko — trwały w oczekiwaniu. Z ust tych płynął śpiew dla niej, a ona piła go chciwie, nie roniąc ni kropli z tej inkantacji pożądania. Każdy dźwięk był muśnięciem tych ust. Śpiew nasilał się, uderzenia w bęben stawały się coraz głębsze, ostrzejsze, spadały lawiną na jej serce i ciało. Bum-bum-bum-bum-bum po jej sercu. Sabina była bębniem, jej skóra przeżyła się pod uderzeniami tych dłoni, wprawiającymi w drganie całe jej ciało. Gdziekolwiek mężczyzna zatrzymał wzrok, czuła werbel jego palców, na brzuchu, na piersiach, na biodrach. Jego wzrok spoczął na obutych w sandałki nagich stopach Sabiny, a one odpowiedziały wystukując takt. Potem spoczął na wciętej talii, gdzie zaczyna się kragłość bioder, i Sabina poczuła, że jego pieśń bierze ją w posiadanie.

Kiedy mężczyzna przestał grać, pozostawił rozpostarte dłonie na skórze bębna, jak gdyby nie chciał ich odjąć od jej ciała, i wciąż patrzyli na siebie, a później odwrócili oczy, jak gdyby bali się, że wszyscy dostrzegli przepływające pomiędzy nimi pożądanie.

Ale kiedy tańczyli, zaszła w nim zmiana. Bezceremonialnie wsuwał jej nogę pomiędzy kolana, jak gdyby chciał wszczepić jej swe niezłomne pożądanie. Przyciskał ją do siebie tak mocno, że każdy ich ruch był jakby ruchem jednego ciała. Przywierał głową do jej głowy tak szczelnie, że zdawało się, iż na wieki muszą tworzyć jedną całość. Pożądanie stało się środkiem ciężkości, nierozzerwalnym spoiwem. Był niewiele od niej wyższy, ale trzymał się bardzo prosto, a kiedy Sabina podnosiła wzrok, żeby spojrzeć mu w oczy, ugodziły ją one w samo sedno jestestwa tak namiętnie, że nie mogła wytrzymać ich płomiennej natarczywości. Blask żądry opromieniał mu twarz niby światło księżyca. Jednocześnie

weszła w nim dziwna fala gniewu, który Sabina wyczuła, a którego nie mogła zrozumieć.

Kiedy taniec się skończył, ukłon mężczyzny był pożegnaniem równie wyraźnym, jak przedtem jego żądza.

Sabina czekała w udręce i zdumieniu.

On wrócił do śpiewu i gry, ale już nie przeznaczał ich dla niej.

Przecież wiedziała, że jej pragnął, dlaczego więc teraz wszystko przekreślał? Dlaczego?

Sabinę ogarnął niepokój tak wielki, że miałaby ochotę zatrzymać bębny, zmusić innych, żeby przerwali taniec. Ale pohamowała ten impuls, przeczuwając, że zraziłaby mężczyznę. Miał swoją dumę. Miał w sobie dziwną mieszaninę bierności i zaborczości. W muzyce był promienny, delikatny, otwarty; w tańcu despotyczny. Sabina musi czekać. Musi uszanować rytuał.

Muzyka urwała się, mężczyzna podszedł do stolika Sabiny, usiadł i uśmiechnął się do niej czule, a zarazem z goryczą.

— Wiem — powiedział. — Wiem... -Wiesz?

— Wiem, ale to niemożliwe — powiedział bardzo łagodnie. I naraz gniew zerwał wszelkie tamy.

— Dla mnie musi być wszystko albo nic. Znam nie od dziś... takie kobiety jak ty. Pożądanie. Owszem, pożądanie, ale nie chodzi tu o mnie. Ty mnie wcale nie znasz. Chodzi o moją rasę, o naszą siłę erotyczną. Sięgnął po przeguby jej dłoni i mówił, przybliżając do niej twarz:

— To mnie zabija. Zawsze tylko żądza, a potem, kiedy chodzi o zupełne oddanie, ucieczka. Bo jestem Afrykaninem. Co ty o mnie wiesz?

Śpiewam i gram na bębnie, ty mnie pożadasz. Ale ja nie jestem zawodowym piosenkarzem. Jestem matematykiem, kompozytorem, pisarzem.

Spojrzał na nią surowo, pełnym ustom trudno było zacisnąć się w złości, ale oczy ciskały błyskawice: — Nie pojechałabyś na L'Ile joyeuse, żeby zostać moją żoną, rodzić mi czarne dzieci i opiekować się cierpliwie moją czarną babką!

Sabina odpowiedziała mu równie zapalczywie, odrzucając do tyłu włosy i zniżając głos, aż zabrzmiał wręcz brutalnie:

— Powiem ci coś: gdyby to było tylko to, o czym mówisz, już to miałam i nie chciałam na tym poprzestać, to było za mało, było cudownie, ale nie chciałam na tym poprzestać. Psujesz wszystko swoim rozgoryczeniem, jesteś zły, ktoś cię zranił...

— To prawda, zranił mnie ktoś, kobieta podobna do ciebie. Kiedy weszłaś, myślałem w pierwszej chwili, że to ona...

— Na imię mi Sabina.

— Nie ufam ci, nie ufam ci ani trochę.

Ale kiedy wstała, żeby z nim zatańczyć, otworzył ramiona i gdy oparła głowę na jego ramieniu, patrzył na jej twarz, a w oczach jego nie było już ani śladu gniewu, ani goryczy.

Mieszkanie Mamby znajdowało się w ślepej uliczce noszącej nazwę Patchen Place. Żelazne sztachety do połowy zagradzały jej wejście, niby wejście do więzienia. Zupełnie jednakowe domy robiły w dodatku wrażenie zespołu, w którym każdą odmienność osobowości traktuje się jako dziwactwo.

Sabina nie cierpiała tej ulicy. Zawsze uważała ją za pułapkę. Była pewna, że inspektor widział, jak tam wchodziła, i będzie czekać przy bramie, żeby zobaczyć, jak wychodzi. Jakże łatwo mu będzie dowiedzieć się, kto tu mieszka, kogo Sabina odwiedza, z którego domu wychodzi rano. Wyobrażała sobie, jak inspektor ogląda każdy dom, jak czyta wszystkie nazwiska na skrzynkach do listów: E.E. Cummings, Djuna Barnes, Mambo z Nocnego Klubu Mamby — znany wszystkim. O świcie inspektor sam zobaczy, jak Sabina wychodzi, okrywając się szczelnie przed porannym chłodem peleryną, zobaczy jej nie rozczesane włosy, niezupełnie jeszcze otwarte oczy. Niechby każda inna ulica, byle nie ta. Kiedyś, wczesnym latem, zbudziła się, czując bolesne napięcie. Wszystkie okna były otwarte. Zbliżał się świt. Na uliczce panowała zupełna cisza. Sabina słyszała szum liści na drzewach. Potem miauczenie kota. Dlaczego się obudziła? Czy coś jej grozi? Czy przy bramie stoi Alan? Usłyszała kobiecy głos wołający donośnie: - Betty! Betty!

- Co jest? - odpowiedział inny głos, stłumiony, zaspany.
- Betty, pod drzwiami schował się jakiś człowiek. Widziałam, jak się tam zakradał.
- A co ja mam na to poradzić? To tylko pijany, pewnie wraca do domu.
- Nie, Betty. Usiłował się schować, kiedy wyjrzałam przez okno. Poproś Toma, żeby poszedł zobaczyć. Boję się.
- Och, nie bądź dziecinna. Idź spać. Tom do późna wczoraj pracował. Nie mogę go budzić. Przecież i tak ten mężczyzna nie może wejść, chyba że naciśniesz guzik i go wpuścisz!
- Ale on tam będzie, kiedy będę szła do pracy. On tam czeka. Zawołaj Toma.
- Idź spać.

Sabinę ogarnęło drżenie. Była pewna, że to Alan. Alan czeka na dole, żeby zobaczyć, jak Sabina wychodzi. Dla niej oznaczało to koniec świata. Alan stanowił treść jej życia. Tamte chwile gorączki to chwile ze snu -niematerialne, znikające równie prędko, jak się pojawiały. Ale gdyby Alan się jej wyparł, równałoby się to śmierci Sabiny. Jej istnienie takie, jak je widział Alan, było jedynym istnieniem prawdziwym. Powiedzieć sobie: „Alan mnie odtrącił”, znaczyło to samo, co powiedzieć: „Alan mnie zabił”.

Pieszczoty ostatniej nocy były naprawdę cudowne jak wielobarwne ognie wymyślnych fajerwerków, wybuchy w jej ciele słońc i neonów, komety mierzące we wszystkie ośrodki rozkoszy, spadające gwiazdy przyszywających uniesień, a mimo to, gdyby powiedziała.- „Zostanę tu z Mambą na zawsze”, byłoby z nią to samo', co z dziećmi, które widziała, gdy usiłowały stanąć pod deszczem iskier ogni sztucznych, trwającym przez króciutką chwilę i okrywającym dzieci tylko popiołem.

Sabinie stanęły przed oczami dwie sceny: Alan płaczący tak, jak szlochał po śmierci ojca — obraz ten sprawiał jej nieznośny ból. Drugi obraz: Alan zagniewany, taki, jaki bywał tylko wobec innych, lecz nigdy wobec niej, i to też było nie do zniesienia. Zarówno pierwszy obraz, jak i drugi, oznaczał kres wszystkiego.

Świt jeszcze nie nadszedł. Co robić? Niepokój Sabiny był tak wielki, że nie mogła już tu leżeć spokojnie. Jak wyjaśni Mambie powód tak wczesnego odejścia? A jednak wstała cicho, stopniowo wysuwając się z pościeli, i ubrała się. Dygotała, wszystko leciało jej z rąk. Musiała zobaczyć, kim jest mężczyzna ukryty pod drzwiami. Nie mogła znieść niepewności.

Wyszła pomału, bezszelestnie z mieszkania. Szła po schodach boso, niosąc sandały. Kiedy któryś stopień skrzypnął, zastygła. Na czoło wystąpiły jej krople potu. Uczucie skrajnego wyczerpania sprawiało, że dłonie wciąż jej drżały. W końcu doszła do drzwi i zobaczyła za mlecznym szkłem sylwetkę mężczyzny. Stał, paląc fajkę tak samo jak Alan. Serce Sabiny zamarło. Zrozumiała, dlaczego zawsze nie cierpiała tej ślepej ulicy. Przez całe dziesięć minut stała w miejscu sparaliżowana strachem i poczuciem winy, żalem za tym, co traci.

— Koniec świata — wyszeptała.

Jak w obliczu śmierci, podsumowała swoje życie — upojne chwile namiętności rozplynęły się, nieistotne wobec utraty Alana, jak gdyby jego miłość stanowiła trzon jej życia.

Kiedy Sabina to sobie uprzytomniła, udręka jej sięgnęła szczytu i nie sposób już było stać bez ruchu. Pchnęła gwałtownie drzwi.

Zobaczyła niepewnie trzymającego się na nogach obcego człowieka o zaczerwienionych, nabiegłych krwią oczach. Niespodziewane zjawienie się Sabiny przestraszyło go i zataczając się w tył, wymamrotał:

— Nie mogę znaleźć swojego nazwiska przy dzwonkach, czy mogłaby mi pani pomóc?

Sabina spojrzała na niego z wściekłością i pobiegła przed siebie, brzeg peleryny smagnął go po twarzy.

Nie kochasz mnie — wyrzucał jej stale Mambo. Czuł, że Sabina obejmuje w nim, całuje na jego ustach muzykę, legendy, drzewa, bicie bębnow z wyspy, z której pochodził, że pragnie żarliwie posiadać zarówno jego ciało, jak tamtą wyspę, że oddaje się jego dłoniom tak samo jak tropikalnym wiatrom, a przebiegające ją prądy rozkoszy przypominają doznania pływaków w podzwrotnikowych morzach. Na jego ustach czuła smak wonnych przypraw z L'Ile joyeuse i z wyspą wiązał się też ten szczególnie sposób, w jaki Mambo ją pieścił — jedwabista zmysłowość pozbawiona zupełnie szorstkości lub brutalności, podobnie jak zarys jego wyspiarskiej postaci i gładka skóra, pod którą nie było widać kości. Sabina nie miała wyrzutów sumienia, że poprzez ciało Mamby poznaje tropik — czuła wstyd bardziej wyrafinowany, ofiarowując Mambie Sabinę nieprawdziwą, udając, że kocha go miłością jedyną i wyłączną. Tej nocy, kiedy narkotyk pieszczot sprawił, że wirowali w przestrzeni, wolni — wolni na krótką chwilę od wszelkich przeszkód na drodze do całkowitego zespolenia dwóch istot ludzkich, dawała mu Sabinę autentyczną.

Kiedy ich wstrząsane jeszcze dreszczem ciała leżały obok siebie, zapadało milczenie i w milczeniu tym każde z nich zaczynało snuć odrębne myśli, rozdzielać to, co było zespolone, zwracać sobie nawzajem to, co przez chwilę było wspólne.

Istniały treści pieszczot, które potrafiły wnikać poprzez najcięższe bariery, przedostawać się poprzez naj-

mocniejsze zabezpieczenia, ale zaraz po wzajemnym zaspokojeniu można je było zniszczyć jak nasiona poczęcia.

Mambo przystępował do tego delikatnego zadania ponownie, choć skrycie zarzucając Sabinie, że szuka tylko rozkoszy, że kocha w nim tylko pływaka, grającego na bębnie wyspiarza, że nigdy nie dotyka w nim, nie pożąda gorąco ani nie przyjmuje w swe ciało artysty, którego cenił w sobie najbardziej, kompozytora utworów, które są sublimacją prymitywnych tematów jego rodzimej muzyki.

Mambo uciekł ze swojej wyspy, uciekł od spontaniczności, świadomie szukając półcieni i subtelnej równowagi tonów jak w muzyce Debussy'ego, a tu przy nim leżała Sabina, która godziła w tę subtelność gorączkowym żądaniem:

— Bij w bęben, Mambo, graj! Graj dla mnie!

Sabina również oddalała się od chwili żaru, który niemal stopił to, co ich dzieliło. Jej tajemne „ja”, odkryte i obnażone w ramionach Mamby, musiało znów przeobrazić się, bo pośród ciszy czuła, jak Mambo wycofuje się, jak oskarża ją w milczeniu.

Zanim mógł się odezwać i zranić ją słowem, kiedy leżała naga, odkryta, kiedy on przygotowywał się do wydania wyroku, ona przygotowywała swoje przeobrażenie, żeby móc wyprzeć się każdej Sabiny, którą Mambo potępi, pozbyć się jej jak maski, zrzucając osobowość, którą on zaatakuje, i powiedzieć: „To nie ja”.

Żadne druzgocące słowo skierowane do Sabiny, którą Mambo posiadał, do Sabiny pierwotnej, nie mogło jej teraz dotknąć - Sabina była już na skraju dżungli ich pożądania, istota jej znajdowała się już bardzo daleko, niedosięgła, chroniona ucieczką. To, co pozostało w pokoju Mamby, było zaledwie kostiumem — ciśniętym na podłogę, pustym.

Kiedyś w starodawnym mieście w Ameryce Południowej Sabina zobaczyła ulice w gruzach po trzęsieniu ziemi. Zachowały się tylko fasady jak na obrazach Chiri-co, granitowe fasady o wyrwanych z zawiasów drzwiach i oknach ukazujących niespodziewanie

domowników, którzy nie skupiali się przy kominku, ale koczowali pod gołym niebem, chronieni przed obcymi tylko jedną ścianą i jednymi drzwiami, poza tym zaś pozbawieni z trzech stron dachu i ścian.

Sabina uświadomiła sobie, że właśnie tę nieograniczoną przestrzeń spodziewała się znaleźć w pokoju każdego z kochanków — morze, góry widoczne dokoła, świat odcięty z jednej tylko strony. Wyrastający pośród drzew kominek bez dachu i ścian, podłogę, poprzez którą przebijają się uśmiechnięte twarzyczki polnych kwiatów, kolumnę dającą schronienie przelatującym ptakom, świątynie, piramidy i barokowe kościoły w oddali.

Ale kiedy zobaczyła cztery ściany i łóżko wciśnięte w kąt, jakby natrafiło w locie na przeszkodę, nie czuła jak inni przyjezdni: „Dotarłam do celu i mogę teraz zdjąć strój podróżny”, ale myślała: „Schwymano mnie i prędzej czy później muszę stąd uciec”.

Każde miejsce, każda istota ludzka musi się załamać pod krytycznym spojrzeniem szukającym ideału, kiedy traktuje się to miejsce lub istotę jak przeszkody na drodze do miejsc wspanialszych, stworzonych przez wyobraźnię. Zły czar padał na każdy pokój, kiedy Sabina

zadawała sobie pytanie: „Czy mam tu zostać na zawsze?” Przekleństwo nieodwracalności, niemożności opuszczenia danego miejsca lub zerwania więzi z drugim człowiekiem. Postarzało przedwcześnie zarówno pokój, jak więź, monotonia przyspieszała proces rozkładu. Chemiczny pierwiastek śmierci, ten koncentrat czasu, wpajający strach przed stagnacją niby wyniszczające promieniowanie, powodujący rozkład z zawrotną prędkością stu lat na minutę.

W tej chwili Sabina uświadomiła sobie tkwiące w niej zło. Niewidzialną zbrodnię równą morderstwu. To była jej ukryta, nie mająca nazwy choroba, którą uważała za nieuleczalną.

Dotarłszy już do źródła śmierci, Sabina wróciła znowu do źródeł życia. Tylko w *Ognistym ptaku* Strawiń-skiego odnajdywała swój bezbłędny życiorys muzyczny. Tylko tu mogła odnaleźć zagubioną Sabinę, ujrzeć samą siebie.

Już w pierwszych zmysłowych śladach płomiennego ptaka, fosforyzujących ścieżkach wiodących przez lasy magnolii, rozpoznawała swoje wczesne doznania, powolne młodzieńcze kiełkowanie uczuć, najpierw ich cień, pogłos oszałamiającego wzruszenia, które nie śmiało jeszcze przekroczyć progu szaleństwa.

Sabina rozpoznawała pierwsze walce prologu, malowidła na szkle, które może strzaskać dotknięcie gorących dłoni, księżycowe aureole wokół nierozpoznawalnych twarzy, przygotowania do uroczystości i wściekły warkot bębnow oznajmiających ucztę serc i zmysłów. Rozpoznawała szkarłat oczekiwań, uniesienia przyspieszające puls, wiatr ciskający hieroglify poprzez łabędzie szyje puzonów.

Osadzone na wirujących kołach fajerwerki wymachiwały ramionami spragnionymi miłości, stapały leciutko po purpurowych językach Ducha Świętego, wymykały

się z niewoli. Ze strzelistych pochodni płomienne skrzydła Merkurego wzbijały się w powietrze niczym oszczepy, mierząc poprzez chmury w fioletowe pochwy nocy.

Przez wiele spędzonych z Mambą wieczorów nigdzie nie wychodzili. W te wieczory, kiedy Sabina umawiała się z Alanem, że wróci o północy, pokazanie się na mieście ze znajomym mężczyzną nie byłoby niczym groźnym ani trudnym do wytłumaczenia, czasem jednak (gdy chciała spędzić z kochankiem kilka nocy) musiała zapowiedzieć Alanowi, że wyjeżdża, a wówczas, jeżeli Mambo zaproponował: „Chodźmy do kina”, powstawał konflikt. Wstydziła się odpowiedzieć: „Nie chcę, żeby mnie Alan zobaczył”. Mogłaby się wydać rygorystycznie strzeżonym dzieckiem albo żoną całkowicie zdominowaną przez męża, a zresztą uczucie jej do Alana nie było uczuciem kobiety, która pragnie być wierna i lojalna, lecz raczej nieletniej wymykającej się z domu na zakazaną zabawę. Widziała w Alanie tylko kochającego ojca, który może przyłapać ją na kłamstwie, rozgniewać się i wymierzyć jej karę. Ponadto gdyby wspomniała o prawach Alana, byłaby też zmuszona wyznać Mambie, w jakiej żyje rozterce. Niekiedy kłamstwa wydawały się jej najwyższym kunsztem samoobrony, lecz nie największą zdradą. Kiedy indziej kusiło ją, żeby przyznać się do wszystkiego, ale powstrzymywała ją świadomość, że jeśli nawet Alan jej wybaczy, będzie potem wymagał od niej radykalnej zmiany postępowania, a Sabina wiedziała, że nie jest to w jej mocy.

Kiedy Mambo wspominał o kinie, Sabina zgadzała się, ale tak, jakby przystępowała do gry — za każdym ra-

zem, kiedy Mambo proponował ten, ów czy jeszcze inny film, brała pod uwagę nie tyle wartości artystyczne, co dzielnice, w jakich te filmy wyświetlano, zastanawiała się, czy jest to film, który mógłby zainteresować Alana, czy do kina jest blisko (wiedziała, że Alan niechętnie jeździ do centrum). Kiedy była z Alanem, starała się wybierać i pamiętać, które filmy Mambo widział lub zamierzał obejrzeć, a znając jego ogromną słabość do kina, starała się nawet wywnioskować, które chciałby oglądać dwukrotnie.

W końcu, jak hazardzista, musiała zawierzyć podszeptom instynktu. Kiedy siedziała już w kinie, niepokój jej wzrastał. Film może się podobać Alanowi tak bardzo, że zechce zobaczyć go po raz drugi albo ktoś ze znajomych może go namówić, żeby pojechał do śródmieścia. Czy Mambo nie siedzi przypadkiem na widowni, kiedy ona jest tu z Alanem, czy nie zobaczył jej, kiedy szła przez salę?

Czasem tłumaczyła sobie, że ten niepokój jest tylko skutkiem zdenerwowania. Kiedy indziej na samym początku filmu szła do damskiej toalety, żeby później wolno i uważnie przejść środkiem sali, przyglądając się z tyłu ludziom, zanim usiadła obok Mamby lub Alana. Uciszało to na chwilę niepokój, dopóki jakiś fragment filmowej historii, dotyczący kłamstwa, zdrady lub jej wykrycia, nie obudził go na nowo. Szczególnie jeśli to był film szpiegowski.

Ilekczo oglądała sceny z życia szpiegów, uświadamiała sobie w pełni, że stale żyje w takim samym napięciu jak oni. Lęk przed zdradzeniem się, przed zbyt mocnym snem, przed mówieniem przez sen, przed nieprzemyślaną intonacją lub zachowaniem, konieczność stałego udawania, natychmiastowego improwizowania wyjaśnień, natychmiastowego uzasadniania swojej obecności tu czy ówdzie.

Sabina miała wrażenie, że mogłaby zaoferować swoje usługi jakiemuś wywiadowi lub okazać się bardzo przydatna w tym zawodzie. Jestem międzynarodowym szpiegiem w domu miłości. Kiedy niepokój stawał się nie do wytrzymania, zamieniał się w nastrój wesoły. Napięcie i ryzyko wydawały się wtedy najbardziej pociągającą, najzabawniejszą grą. W takich chwilach Sabina stawiała się jedynie dzieckiem, które umknęło spod kurateli, dzieckiem, które bawi własną pomysłowość. Skrytość ustępowała miejsca potrzebie chępczenia się fortelami i Sabina opisywała je tak wesoło, że gorszyła tym słuchaczy. Niepokój i wesołość ogarniały ją na przemian. Wykręty, eskapady, podstępny wydawały się Sabinie w chwilach dobrego nastroju pełnymi fantazji rycerskimi czynami, mającymi na celu chronić wszystkich przed okrucieństwami życia, czynami, za które nie ponosiła winy. Nie-wyczerpana inwencja i świetne aktorstwo służyły szlachetnej idei — osłaniać ludzi przed prawdą, która jest nie do zniesienia. Ale nikt z jej słuchaczy nie podzielał nigdy tej gwałtownej wesołości: w ich spojrzeniach czytała potępienie. Jej śmiech traktowano jak profanację, kpiny z tego, co w istocie jest smutne. Spojrzenia rozmówców Sabiny mówiły, że życzą jej upadku z tej liny, po której chodzi, manewrując japońskimi parasolkami z bibułki, bo żaden winowajca nie ma prawa posiadać takiej zręczności i żyć tylko dzięki umiejętności balansowania ponad surowymi rygorami rzeczywistości, narzucającymi człowiekowi wybór zgodnie z tabu, które zabrania podwójnej egzystencji. Nikt nie podzielał ironii i humoru, z jakim Sabina traktowała rygory życia, nikt nie przyklaskiwał, kiedy dzięki zręczności udawało się jej przekraczać zakreślone przez tabu granice.

W tych chwilach, kiedy radość jej sięgała szczytu ponad grzędawiskiem niebezpieczeństw, ponad wciągającym bagnem winy, opuszczali ją wszyscy, nie dając jej rozgrzeszenia; jak gdyby czekali, żeby wybiła godzina kary dla szpiega w domu miłości, godzina kary za to, że była nieuchwytna, za to, że zmyliła strażę czuwającą na wyraźnie zakreślonych rubieżach, za to, że bez paszportu i wiz przechodziła z jednej miłości w drugą.

Życie każdego szpiega kończyło się haniebną śmiercią.

Sabina czekała na zmianę świateł przy skrzyżowaniu w nadmorskim miasteczku.

Zdziwił ją i zmusił do przyjrzenia się czekającemu obok rowerzyście niezwykle blask jego wielkich oczu. Lśniły wilgotną srebrzystą poświatą, która była niemal przerażająca, bo bił z niej ukryty tuż pod powierzchnią ogromny lęk. Płynne srebro budziło niepokój jak oślepiające reflektory na skraju unicestwienia przez mrok. Sabina zaraziła się tym lękiem, jakby wpatrzona w drżący połysk szlachetnego kamienia, który miał za chwilę wciągnąć w wir niewidzialny cyklon.

Dopiero później zauważyła subtelne, rzeźbione rysy, mały nos, łagodny wykrój warg, nie pasujący do głębokiego niepokoju oczu, usta bardzo młodego człowieka, czystą, gładką twarz, nie ujarzmioną jeszcze przez uczucia. Te nie znane mu uczucia nie przeżarły też jeszcze jego ciała. Ruchy miał swobodne i zwinne, młodzieńcze, żywe i lekkie. Tylko oczy skupiały całą gorączkę.

Pędził na rowerze, jak gdyby to był samochód wyścigowy albo samolot. Podjechał raptownie, jakby nie widział drzew, samochodów, ludzi i niemal przegapił czerwone światło.

Żeby otrząsnąć się z wrażenia, jakie wywarły na niej jego oczy, Sabina starała się osłabić ich moc, myśląc: „To po prostu piękne oczy, pełne namiętności, młodzi "ludzie rzadko miewają tak namiętne spojrzenie, w jego oczach jest po prostu więcej życia niż w innych". Ale ledwie to sobie powiedziała, żeby wyzwolić się spod uro-

ku tych oczu, już głębszy instynkt podszeptał jej: „On widział coś, czego inni młodzi mężczyźni nie widzą”.

Z czerwonego światła zmieniło się na zielone, mężczyzna ruszył gwałtownie, tak prędko, że Sabina nie zdążyła się nawet cofnąć, ale natychmiast równie gwałtownie zahamował i zdyszczanym głosem spytał o drogę na plażę. Głos w odróżnieniu od opalonej, zdrowej, gładkiej skóry pasował do jego oczu.

Pytał o drogę takim tonem, jak gdyby plaża była schronieniem, do którego gnał, uciekając przed poważnym niebezpieczeństwem.

Nie był przystojniejszy od innych młodych mężczyzn, których widziała w tym mieście, ale jego spojrzenie zapadło jej w pamięć i obudziło w niej gwałtowny bunt wobec tej miejscowości. Z gorzką ironią przypomniała sobie ruiny, które widziała w Gwatemali, i to, co jakiś amerykański turysta powiedział: „Nie cierpię gruzów, nie cierpię ruin, grobów”. Ale w tym nowym nadmorskim miasteczku panowała nieskończenie większa martwota i beznadziejność niż pośród starożytnych ruin. Chmury monotonii, pospolitości wisiały nad nowymi, ładnymi rezydencjami, nieskazitelnymi trawnikami, czyściutkimi ogrodowymi meblami. Mężczyźni i kobiety na plaży — jednowymiarowi, pozbawieni siły wzajemnego przyciągania, chodzące trupy cywilizacji, elegancko ubrane, o martwych oczach.

Czemu tu była? Czekwała, aż Alan skończy pracę, Alan, który obiecał przyjechać. Ale tęsknota do innych miejsc nie dawała jej zasnąć.

Spacerując, natknęła się na napis, który głosił: „Teren budowy najdroższego kościoła na Long Island”.

Sabina spacerowała. O północy miasto było opustoszałe. Wszyscy siedzieli w domach przy butelkach, z których mieli nadzieję czerpać radość butelkowaną gdzie indziej.

Tak się pije na stypie - myślała Sabina, zaglądając do barów, w których zwiotczałe postacie trzymały kurczowo butelki dające zapomnienie. O pierwszej szukała apteki, żeby kupić tabletki nasenne. Była zamknięta. Sabina szła. O drugiej poczuła się zmęczona, ale ciągle dręczyło ją, że jest w tym mieście, które nie pozwala na uliczne zabawy, tańce, fajerwerki, orgie gitar, marimby, radosne okrzyki, turnieje poetów i zaloty. O trzeciej skręciła w kierunku plaży, żeby spytać księżyc, czemu pozwolił jednemu ze swych nocnych dzieci błąkać się tak w mieście od dawna pozbawionym jakiegokolwiek życia. Obok niej zatrzymał się samochód policyjny i bardzo wysoki, siwy Irlandczyk zwrócił się do niej uprzejmie:

- Czy można panią podwieźć do domu?
- Nie mogłam zasnąć - powiedziała Sabina. - Szukałam apteki, żeby kupić tabletki nasenne albo aspirynę. Wszystko zamknięte. Usiłowałam chodzić, aż zrobię się śpiąca.
- Kłopoty sercowe? - spytał, unosząc szarmancko głowę z uprzejmą gotowością, która nie brała się z policyjnego nawyku, ale z jakiejś głębszej dumy, jakby gotowość ta była wyrazem jego męskiej godności. Ale słowa były tak nieodpowiednie, że lękając się następnej niedojrzałej, banalnej uwagi, przemilczała wszystko, z czego miałyby ochotę mu się zwierzyć. Niezręczne słowa przeczyły jego dojrzałemu wyglądowi.
- Tęsknię za wszystkimi miejscami nad morzem, które znam - powiedziała wymijająco. - Za Capri, Majorką, południem Francji, Wenecją, Riwierą Włoską, Południową Ameryką.
- Potrafię to zrozumieć, z początku bardzo tęskniłem za Irlandią, kiedy tutaj przyjechałem.

— Rok temu tańczyłam na plaży, pod palmami, przy dźwiękach namiętnej muzyki, a fale omywały nam stopy.

— Znam to. Należałem kiedyś do ochrony jednego bogacza. Wieczorami wszyscy przesiadywali w kawiarniach. Każda noc była jak święto narodowe. Proszę wsiąść, zawiozę panią do siebie. Żona i dzieciaki śpią, ale mogę dać pani aspiryny.

Sabina usiadła obok niego. Irlandczyk dalej wspominał czasy, kiedy pracował jako ochrona osobista i podróżował po świecie. Prowadził samochód bardzo płynnie.

— Nie cierpię tego miasta — powiedziała Sabina z pasją. Policjant zatrzymał samochód przed schludnym białym domem.

— Proszę poczekać — powiedział i wszedł do willi. Wrócił niosąc szklanek wody i dwie aspiryny w dłoni. Napięcie Sabiny zaczęło słabnąć. Posłusznie przyjęła wodę i aspirynę. On skierował silne światło latarki na a krzew w ogrodzie.

— Proszę spojrzeć — powiedział.

Pośród nocy Sabina zobaczyła aksamitne kwiaty z czarnym środkiem i złotymi cętkami.

— Co to za kwiaty? — spytała, żeby sprawić mu przyjemność.

— Róże Sarena — odrzekł poważnie najczystszy irlandzki akcentem.

— Rosną tylko w Irlandii i na Long Island.

Bunt Sabiny słabnął. Wzruszyły ją róże Sarena, opiekuńcza życzliwość policjanta, jego troska o znalezienie dla niej namiastki kwiatów tropikalnych, odrobiny piękna tej nocy.

— Teraz już zasnę — powiedziała. — Może mnie pan wysadzić przy Penny Cottage.

— O, nie — zaprzeczył, siadając za kierownicą. — Pojeździmy wybrzeżem, aż zrobi się pani tak śpiąca, że

dłużej już nie będzie pani mogła wytrzymać. Wie pani, nie można zasnąć, dopóki się nie znalazło czegoś, za co można być wdzięcznym, nie można spać, jeżeli się czuje gniew.

Do Sabiny nie docierało wiele z jego długich, zawiłych opowieści o czasach, kiedy pracował jako ochrona osobista, usłyszała wyraźnie tylko te słowa: „Pani druga sprawia mi dziś kłopot swoją nostalgią. Ten pierwszy to młody chłopak z angielskich wojsk powietrznych. Przez całą wojnę był lotnikiem, zgłosił się na ochotnika, kiedy miał siedemnaście lat. Teraz ściągnęli go na ziemię, a on nie może się z tym pogodzić. Nie potrafi znaleźć sobie miejsca, wciąż pędzi i łamie przepisy ruchu.

Czerwone światła doprowadzają go do szału. Kiedy zorientowałem się, o co chodzi, przestałem wypisywać mu mandaty. Przyzwyczał się do samolotów. Ciężko jest być przykutym do ziemi. Rozumiem go”.

Sabina czuła, że zapada w opary snu niosące woń róż Saronu, na niebie świeciły oczy młodego lotnika, nie przyzwyczajonego jeszcze do ograniczonej przestrzeni, do ziemskiej ciasnoty. Były na świecie inne istoty ludzkie marzące o wielkich lotach, a dobry policjant, wysoki jak krzyżowiec, czuwał nad nimi ze szklanką wody i dwiema aspirynami. Teraz Sabina może już spać, może spać, może odnaleźć swoje łóżko, a latarka policjanta oświetli dziurkę od klucza, samochód cicho, bezszelestnie odjedzie w dal, siwowłosa policjant powie: „Śpij...”

Sabina była w budce telefonicznej. Alan powiedział właśnie, że nie może tego dnia przyjechać. Miała wrażenie, że padnie na podłogę, płacząc nad swoją samotnością. Chciała wrócić do Nowego Jorku, ale Alan błagał, żeby poczekała.

Bywają miejsca podobne do starożytnych grobowców, w których dzień jest stuleciem niebytu. Alan powiedział:

- Chyba możesz poczekać jeszcze jeden dzień. Jutro przyjadę. Bądź rozsądna.

Nie mogła tłumaczyć, że nieskazitelne trawniki, drogie kościoły, nowe mury i świeża farba tworzą przepastny grobowiec, pozbawiony kamiennych bogów, których można by czcić, grobowiec bez klejnotów, bez urn pełnych żywności dla zmarłych, bez hieroglifów, które można by rozszyfrować.

Linie telefoniczne przekazały tylko wyraźnie sformułowane zdania, nigdy nie przepływały nimi wewnętrzne krzyki goryczy, rozpacz. Jak telegramy komunikowały tylko o faktach nieodwołalnych i ostatecznych -o przyjazdach, wyjazdach, narodzinach i śmierci, nie było w nich miejsca na urojenia takie, jak: Long Island to grobowiec i jeszcze jeden dzień tu spędzony spowoduje śmierć z braku powietrza. Aspiryna, irlandzki policjant i róże Saroni nie mogą uratować Sabiny przed uduszeniem.

Ściągnięty na ziemię. Kiedy już miała osunąć się na podłogę, na dno budki telefonicznej, na dno swojej samotności, zobaczyła, że na wolny telefon czeka tamten lotnik. Wychodząc z budki, spostrzegła znów jego smutek, miało się wrażenie, że martwi go wszystko, co dzieje się w czasach pokoju. Ale kiedy ją poznał, uśmiechnął się.

- Pani wskazała mi drogę na plażę - powiedział. -Trafił pan? Podobało się panu?

-Jak na mój gust, plaża jest zbyt monotonna. Lubię skały i palmy.

Przywykłem do tego w Indiach podczas wojny.

Do tej pory wojna jako pojęcie abstrakcyjne nie dotarła jeszcze do świadomości Sabiny. Była jak spragnieni wiary, którzy otrzymywali religię tylko w postaci kładzonego na język opłatek. Wojna, jak opłatek położony jej prosto na język przez młodego lotnika, zbliżyła się

nagle i Sabina zrozumiała, że jeżeli on zwierza się jej ze swojej pogardy wobec czasów pokoju, czyni to tylko po to, żeby zapoznać ją z najstraszliwszym piekłem wojny. Tam był jego świat. Kiedy powiedział: „Proszę więc wziąć rower, pokażę pani lepszą plażę”, nie oznaczało to tylko ucieczki od leżących w różnych pozach postaci na plaży, od graczy w golfa i polipów ludzkich przyssanych do wilgotnych ścian barów; oznaczało to podróż do jego piekła. Gdy tylko ruszyli plażą, zaczął mówić:

— Spędziłem pięć lat wojny jako strzelec pokładowy. Byłem dwa lata w Indiach, byłem w Afryce Północnej, sypiałem na pustyni, rozbiłem się kilka razy, wykonałem około stu zadań, widziałem wszystko, co można zobaczyć... Ludzi konających, ludzi wrzeszczących w płonących samolotach. Widziałem ich zwęglone ręce, dłonie jak szpony. Pierwszy raz, kiedy posłali mnie na lądowisko po katastrofie... Zapach spalonego mięsa... Słodki i mdlący, chodzi potem za człowiekiem przez długi czas. Nie można go zmyć. Nie można się go pozbyć. Wciąż się go czuje. A jednak mieliśmy kupę zabawy. Śmiechu było co niemiara. Ściągaliśmy prostytutki i wpychaliśmy je do łóżek facetom, którzy nie lubią kobiet. Nasze popijawy trwały czasem dobre kilka dni. Podobało mi się to życie. Indie. Chciałbym tam wrócić. Życie tutaj, to, o czym się mówi, co się robi, myśli, nudzi mnie. Lubiłem spać na pustyni. Widziałem, jak jedna czarna rodziła... Pracowała na polu, nosząc ziemię pod nowe lotnisko. Przestała nosić ziemię, żeby urodzić dziecko pod skrzydłem samolotu, zwyczajnie, a potem zawinęła niemowlę w jakieś gałgany i wróciła do pracy. Zabawny widok — wielki samolot, taki nowoczesny, i ta rodząca na wpół naga kobieta, która po chwili znów nosi wiadrami ziemię na lotnisko. Wiesz, tylko dwóch nas wróciło żywych z grupy, z którą zaczynałem. Ale ro-

biliśmy różne kawały. Moi kumple ostrzegali mnie zawsze: „Nie daj się ściągnąć na ziemię, jak ci raz odbiorą loty, jesteś skończony”. No i mnie też wycofali z lotnictwa. Za dużo było strzelców pokładowych. Nie chciałem jechać do domu. Co za życie w cywilu? Dobrze dla starych panien. Szare. Wciąż to samo w kółko. Pomyśl: dziewczyny chichoczą, chichoczą bez żadnego powodu. Chłopcy czepiają się mnie. Nic się nigdy nie dzieje. Ludzie nie śmieją się z całej duszy ani nie jęczą. Nie bywają ranni, nie umierają, ale się też nie śmieją.

I ciągle to coś w jego oczach, czego nie mogła odczytać, coś, co on widział, ale o czym nie mówił.

- Podobasz mi się, bo nie znosisz tego miejsca i nie chichoczesz - powiedział, ujmując delikatnie jej dłoń.

Szli bez końca, niestrudzenie, plażą, aż nie było już widać domów, zadbanych ogródków, ludzi, plaża stała się dzika, bez śladów stóp ludzkich, a drewno i wodorosty wyrzucone przez morze leżały - jak on to określił — „niby zbombardowane muzeum”.

-Cieszę się, że znalazłem kobietę - powiedział -która idzie ze mną równo i która nienawidzi tego samego, co ja.

Kiedy wsiedli na rowery i jechali z powrotem, Joanna ogarnęło radosne uniesienie, jego gładka skóra zaróżowiła się od słońca. Lekkie drżenie rąk ustało.

Świetlików było tak dużo, że uderzały o ich twarze.

-W Ameryce Południowej - powiedziała Sabina -kobiety noszą świetliki we włosach, ale robaczki przestają świecić, kiedy zasną. Więc od czasu do czasu kobiety muszą je pocierać, żeby nie spały.

John roześmiał się.

Przy drzwiach willi, w której mieszkała, zatrzymał się niepewnie.

Widział, że jest to dom prywatny z pokojami do wynajęcia. Sabina nie zrobiła żadnego gestu, ale szeroko otwartymi oczyma o aksamitnych źrenicach

wpatrywała się w jego oczy, tak jakby starała się pokonać ich lęk.

— Chciałbym z tobą zostać — powiedział bardzo cicho i nachylił się, żeby pocałować ją po bratersku, omijając usta.

— Możesz, jeżeli chcesz.

— Tamci mnie usłyszą.

— Znasz się dobrze na wojnie — powiedziała Sabina — ale ja znam się na pokoju. Jest sposób, żebyś wszedł, a oni wcale tego nie usłyszą.

— Naprawdę?

Ale nie był przekonany i Sabina wiedziała, że przeniósł tylko na nią swoją nieufność do właścicieli domu, bo lęka się jej doświadczenia w podstępach, co czyniło z niej groźnego przeciwnika.

Sabina milczała i jak gdyby uległa wobec jego oporu, ruszyła biegiem do domu. Wówczas chwycił ją i pocałował nieomal rozpaczliwie, wpijając nerwowe, giętkie palce w jej ramiona, włosy — chwytając się ich jak tonący, żeby mieć głowę jej blisko, jak gdyby mogła mu się wymknąć.

— Pozwól mi wejść z tobą.

— To zdejmij buty — wyszeptała. Poszedł za nią.

— Mój pokój jest na pierwszym piętrze. Kiedy będziemy iść na górę, stawiaj stopy jednocześnie ze mną, schody skrzypią. Ale będzie się zdawało, że to jedna osoba.

Uśmiechnął się.

Kiedy weszli do pokoju i Sabina zamknęła drzwi, John rozejrzał się wokoło, jak gdyby chciał się upewnić, czy nie wpadł w pułapkę wroga. Pieszczoty jego były tak nieśmiałe, że niemal przypominały laskotanie, wyzwanie rzucone przelotnie, na które bała się odpowiedzieć, żeby go nie spłoszyć. Palce dotykały jej lekko i cofały się, kiedy wzbudziły już pod-

niecenie, usta muskały ją, a potem umykały spod jej ust, twarz i ciało przysuwały się blisko, jednoczyły się z każdą jej częścią, a potem znikwały w mroku. Szukał każdej krągłości, każdego wgłębienia, do którego mógł przylgnąć swoim ciepłym, smukłym ciałem, i nagle zamierał, pozostawiając ją w oczekiwaniu. Kiedy pieścił jej usta, oddalał się od jej rąk, kiedy odpowiadała na nacisk jego bioder, zwalniał go. Nie dopuszczał, żeby jakiegokolwiek zespolenie trwało dość długo, ale kosztował każdego uścisku, każdej cząsteczki jej ciała, a po chwili oddalał się, tak jakby chciał wzbudzić żar, nie dopuszczając do ostatecznego stopienia w jedność. Podniecające, ciepłe, pełne drzeń ulotne zwarcia zmysłów — równie kapryśnych i niespokojnych jak za dnia - sprawiły, że właśnie tej nocy, w świetle ulicznej latarni wydobywającej z mroku nagość ich ciał, ale nie jego wzrok, w Sabinie wezbrało nieznośne wprost pożądanie. John zamienił jej ciało w krzew róż Saronu, kwiatów ciężkich od pyłku, gotowych na przyjęcie rozkoszy. Kiedy tak długo odwlekane, tak długo przywabiane spełnienie nadeszło, wzięło odwet w długiej, przedłużonej, najgłębszej ekstazie. Drzenie udzieliło się ciału Sabiny. Zespoliła w sobie niepokoje Johna, wchłonęła jego delikatną skórę, jego olśniewające spojrzenie. Zaledwie chwila upojenia minęła, John odsunął się i powieciał niewyraźnie:

— Życ to znaczy latać, latać.

-To jest lot - rzekła Sabina. Ale widziała jego leżące obok ciało nie wstrząsane już dreszczem i zrozumiała, że samotnie odczuwa tę chwilę jako skupienie całego pędu, wszystkich uniesień i całej przestrzeni, której pragnęła.

Niemal od razu John w ciemności zaczął mówić o płonących samolotach, o poszukiwaniu okaleczonych ciał tych, co ocaleli, o ustalaniu, kto zginął.

— Niektórzy umierają w milczeniu — powiedział. — Widać po ich oczach, że umrą. Niektórzy umierają krzycząc i trzeba się odwracać, żeby nie patrzeć im w oczy. Wiesz, kiedy byłem na szkoleniu, na samym początku powiedzieli mi: „Nigdy nie patrz w oczy konającym”.

— Ale patrzyłeś — powiedziała Sabina.

— Nie, nigdy, nigdy.

— Przecież wiem, że patrzyłeś. Poznają to po twoich oczach, patrzyłeś w oczy konającym, może za pierwszym razem...

Tak wyraźnie mogła go sobie wyobrazić: siedemnastolatek, jeszcze nie mężczyzna — o delikatnej, dziewczęcej skórze, subtelnych rysach, małym, prostym nosie, kobiecych ustach, nieśmiałym uśmiechu, z tą jakąś młodzieńczością w twarzy i postaci — patrzący w oczy człowiekowi, który umiera.

— Mój instruktor powiedział: „Nie patrz nigdy w oczy tym, co umierają, bo zwariujesz”. Czy sądzisz, że jestem szalony? O to ci chodzi?

— Nie jesteś szalony. Masz uraz, gnębi cię lęk, rozpacz i wydaje ci się, że nie masz prawa żyć, cieszyć się, bo twoi przyjaciele zginęli albo giną, albo wciąż latają. Mam rację?

— Chciałbym tam być teraz, pić z nimi, latać, oglądać obce kraje, obce twarze, spać na pustyni z poczuciem, że śmierć może przyjść w każdej chwili, więc trzeba pić prędko, walczyć na całego i śmiać się na całego. Chciałbym tam teraz być, a nie grzeszyć tutaj.

— Grzeszyć?

— To, co robimy, jest złe, prawda? Chyba nie zaprzeczysz? — Wysunął się z łóżka i zaczął się ubierać. Jego słowa zburzyły nastrój uniesienia, jaki ogarnął Sabinę. Nakryła się prześcieradłem aż po brodę i leżała w milczeniu.

Kiedy był gotów, zanim wziął buty, pochylił się nad nią.

— Chcesz — zaproponował z czułością młodego mężczyzny, który bawi się w ojca — żebyś cię otulił przed wyjściem?

— Tak, tak — powiedziała Sabina, jej rozpacz rozplynęła się, Sabina powiedziała „tak”, nie z wdzięczności za ten opiekuńczy gest, ale dlatego, że gdyby John uważał ją za kobietę złą, nie otulałby jej. Nie otula się złej kobiety. Gest ten mógł też oznaczać, że John przyjdzie do niej znowu. Otulił ją ostrożnie z wprawą lotnika i zręcznością człowieka nawykłego do urządzania prowizorycznych noclegów. Sabina leżała na wznak, poddając się tym czynnościom. Ale to, co John tak delikatnie otulał, nie było nocą rozkoszy, zaspokojonym ciałem, ale ciałem, któremu wszczepił truciznę, co go zabijała, dręczące go szaleństwo głodu, winy i śmierci *per procura*. Wszczepił w jej ciało własne gryzące poczucie winy za to, że żyje i czegoś pragnie. Wsączył w jej ciało truciznę z każdą kroplą rozkoszy, kroplę trucizny — poczucie winy, dlatego że żyje i pożąda — z każdym pocałunkiem, każdy dreszcz zmysłowej rozkoszy był jednocześnie pchnięciem noża zabijającego przedmiot pragnień, zabijającego świadomością winy.

Nazajutrz przyjechał Alan, jego spokojny uśmiech, spokojne usposobienie nie zmieniły się. Nie zmieniło się też jego wyobrażenie o Sabinie. Sabina miała nadzieję, że obecność Alana podziała na nią jak egzorcyzmy, że Alan przepędzi demona szaleństwa, które opętało ją ubiegłej nocy, ale zbyt mu był daleki zamęt jej rozpacz, a siła jego wyciągniętej dłoni, siła miłości, którą ofiarowywał, nie mogła się równać z potęgą tego, co ściągało Sabinę w dół.

Chwila dojmującej, stężonej rozkoszy, która przeszła jej ciało, i zmieszana z nią stężona trucizna niepokoju.

Sabina pragnęła uleczyć Johna z urazu, który, jak wiedziała, jest progiem szaleństwa. Pragnęła dowiedzieć mu, że jego poczucie winy jest niedorzeczne, że gdy widzi ją i swoje pożądanie jako zło, oznacza to chorobę.

Niepokój, głód i lęk w jego oczach udzieliły się jej. Lepiej byłoby dla niej, gdyby nigdy w te oczy nie spojrzała. Czuła rozpaczliwą potrzebę uwolnienia go od winy, potrzebę ratowania go, bo z przyczyn, których nie potrafiła zgłębić, stała się z nim współwinna, musiała więc ratować i jego, i siebie. John zatrął ją, pisany mu wyrok dotyczył teraz również Sabiny. Oszaleje wraz z Johnem, jeżeli nie uratuje go i nie zmieni jego sposobu widzenia świata.

Gdyby jej nie otulił, może by zbuntowała się przeciw niemu, znienawidziła go, znienawidziła jego ślepotę. Ale ten gest czułości rozbroił ją. John był ślepy, bo błędził, był przerażony i czuły, okrutny i zagubiony, a Sabi-

na była tym wszystkim z nim razem, przez niego, za jego sprawą. Nie mogła nawet drwić z jego obsesji na punkcie latania. Samoloty Johna nie różniły się od nawiązywanych przez nią stosunków, dzięki którym chciała znaleźć nowe kraje, obce twarze, zapomnienie, to, co nieznane, marzenia i baśnie.

Nie mogła drwić z buntu Johna z powodu unieruchomienia go na ziemi. Rozumiała ten bunt, doświadczała go za każdym razem, kiedy zraniona wracała do Alana. Gdyby tylko John uznał ją za kobietę złą i nie otulił jej jak dziecko, dziecko, którym był też on sam w przerażającym, zdumiewającym świecie. Gdyby tylko brutalnie odszedł, obarczając ją całym brzemieniem wstydu, które tak często przypada kobietom obrzucanym przez mężczyzn wstydem zamiast kamieniami za to, że kuszą i przywodzą do złego. Wtedy mogłaby go znienawidzić i zapomnieć o nim, ale skoro John ją okrył, to wróci. Nie cisnął jej w twarz swojego wstydu, nie powiedział: Jesteś zła". Nie otula się złych kobiet. Ale kiedy spotkali się przypadkiem i John zobaczył ją u boku Alana, w jednej chwili po jego spojrzeniu poznała, że udało mu się zrzucić na nią cały wstyd, że teraz myśli: „Mimo wszystko jesteś kobietą złą". I że już nigdy do niej nie wróci. Sabina utraciła szansę na odtrutkę, gdy tymczasem trucizna działała nadal.

Alan wyjechał, a Sabina została w nadziei, że znów zobaczy Johna. Wyglądała go na próżno w barach, restauracjach, kinach i na plaży. Pytała o niego w firmie, w której wypożyczał rower — nie widzieli go, ale rower nadal był u niego.

W rozpaczy pytała o Johna w domu, gdzie wynajmował pokój. Zapłacił za następny tydzień, ale nie pokazywał się już od trzech dni, a właścicielka pensjonatu niepokoiła się, bo jego ojciec codziennie telefonował.

Ostatni raz widziano go w barze z grupą nieznajomych ludzi, którzy razem z nim odjechali.

Sabina czuła, że powinna wrócić do Nowego Jorku i zapomnieć o Johnie, ale obraz jego namiętej twarzy, rozpaczy jego oczu sprawiał, że wydawałoby się to dezercją z pola bitwy.

W innych chwilach rozkosz, którą John ją obdarzył, rozpaliała ciało Sabiny niczym strumień gorącej rtęci przepływającej przez żyły.

Wspomnienie rozkoszy napływało wraz z falami, kiedy kąpała się w morzu, a fale podobne były do jego rąk lub do zarysów jego ciała pod jej dłońmi.

Uciekła od fal i od jego rąk, ale kiedy leżała na ciepłym piasku, znów miała pod sobą nie piasek, lecz jego ciało, to jego sucha skóra i szybkie, urywane gesty wymykały się jej palcom, przesuwwały się jej pod piersiami. Uciekła od piasku jego pieszczot.

Ale jadąc na rowerze do domu, znów się z nim ścigała, słyszała w podmuchach wiatru jego wesołe okrzyki: „Prędzej, prędzej, prędzej”, twarz jego goniła ją albo też ona goniła jego twarz.

Tej nocy Sabina podniosła twarz do księżyca, a ruch ten obudził w niej ból, bo tak samo podnosiła głowę, żeby John ją pocałował, ale wtedy pomagały jej jego dłonie. Usta Sabiny jeszcze raz otworzyły się do pocałunku, ale dotknęły próżni. O mało nie krzyknęła z bólu, wzywając księżyc — głuche, niewzruszone bóstwo pożądania, oświetlające szyderczo pustą noc, puste łóżko. Postanowiła jeszcze raz podejść do jego domu, choć było późno, choć przerażała ją myśl, że znów zobaczy pustą, martwą twarz jego okna.

W otwartym oknie jego pokoju paliło się światło!

Sabina stała na dole, wypowiadając szeptem jego imię. Ukryła się za krzakiem. Bała się, żeby nie usłyszał jej kto inny. Bała się, żeby oczy świata nie padły na kobietę stojącą pod oknem młodego mężczyzny.

—John! John!

Wyjrzał przez okno, włosy miał zmierzwione i nawet w poświacie księżycy Sabina widziała, że twarz jego płonie gorączką, a wzrok jest zamglony.

— Kto tam? — spytał tym charakterystycznym tonem żołnierza obawiającego się zasadzki.

— Sabina. Chciałam tylko zobaczyć... czy coś się stało?

— Ależ nic się nie stało. Byłem w szpitalu.

— W szpitalu?

— Atak malarii, to wszystko.

— Malarii?

— Mam takie ataki, kiedy za dużo piję...

— Czy zobaczymy się jutro? Roześmiał się cicho.

— Ojciec do mnie przyjeżdża.

— To nie będziemy się mogli spotykać. Powinnam raczej wrócić do Nowego Jorku.

— Odezwę się do ciebie, kiedy wrócę.

— Czy zejdiesz, żeby pocałować mnie na dobranoc? John zawahał się.

— Oni usłyszą, powiedzą ojcu...

— Do widzenia, dobranoc...

— Do widzenia — odrzekł. Obojętny, wesoły.

Ale Sabina nie mogła opuścić Long Island. Było tak, jak gdyby John omotał ją siecią rozkoszy, której znów pragnęła, odebrał jej wolność, tworząc tę Sabinę, którą chciałyby zniweczyć, zatrzeć w pamięci, zniewolił ją trucizną, na którą on jeden miał lekarstwo, trucizną wspólnej winy, którą tylko akt miłości mógł zamienić w coś innego niż przygodny stosunek z nieznanym mężczyzną.

Księżyc szydził z niej, kiedy wracała do pustego łóżka. Szcherzył zęby, czego nie zauważyła nigdy przedtem, szy-

dził z tych perypetii miłosnych, które działały się pod jego wpływem. *Rozumiem szaleństwo Johna, dlaczego więc on przede mną ucieka? Jest mi bliski, dlaczego ja nie jestem mu bliska? Dlaczego nie widzi łączącego nas podobieństwa, podobieństwa pomiędzy moim i swoim szaleństwem? Pragnę tego, co niemożliwe, pragnę ciągłego lotu, burzę zwyczajne życie, wybiegam naprzeciw wszystkim niebezpieczeństwom miłości, tak jak on wybiega naprzeciw niebezpieczeństwom wojny. John ucieka, wojna mniej go przeraża niż życie...*

Ani John, ani księżyc nie pomogli jej wyrwać się z mocy tego szaleństwa. Pozostawało ono w niej ukryte głęboko, aż ktoś jej raz zarzucił:

— Czy nie obchodzą cię wiadomości z frontu? Nie czytasz gazet?

— Znam wojnę, wiem o niej wszystko.

— Zawsze ma się wrażenie, że jest ci to obojętne. *(Spalam z wojną, spędziłam raz z wojną całą noc.*

Odniosłam ciężkie rany, czego wy nie doświadczyliście nigdy, zdobyłam się na bohaterstwo, za które nigdy nie dostanę odznaczenia!)

Podczas licznych wędrówek miłosnych Sabina od razu rozpoznawała echa wielkiej miłości i silniejszego pożądania. Wielka miłość, zwłaszcza jeśli nie umarła śmiercią naturalną, nie umierała nigdy bez reszty, wypalała swe piętno. Kiedy coś stało jej na drodze, kiedy została sztucznie stłumiona, przypadkowo zdruzgotana, żyła nadal w odłamkach, pobrzmiwając nie kończącym się, nikłym echem.

Nieuchwytnie fizyczne podobieństwo, niemal ten sam wykrój ust, tembr głosu, jakaś część charakteru Filipa lub Johna przenosiła się na innego mężczyznę, którego po zmysłowym rezonansie, jaki w niej budził, Sabina poznawała od razu w tłumie, na przyjęciu.

Echa odzywały się najpierw poprzez tajemne instrumenty zmysłów, w których przetrwały doznania, podobnie jak instrument wydaje dźwięk jeszcze przez pewien czas po tym, gdy go ktoś dotknie. Ciało zachowywało wrażliwość na określone powtórzenia, kiedy świadomość była już dawno przekonana o niewątpliwym, ostatecznym zerwaniu.

Podobny wykrój warg wystarczał, żeby odnowić przerwany strumień doznań, aby odtworzyć na nowo kontakt niegdyś nawiązany, był niby kanał przepuszczający bez zakłóceń tylko część minionego upojenia za pośrednictwem zmysłów budzących drgania i odczucia wzniecone dawniej przez wszechogarniającą miłość lub wszechogarniające pragnienie dotyczące całej osobowości.

Zmysły tworzyły łożyska rzek z reakcji wywoływanych po części przez osady, resztki, wylewy pochodzące z pierwotnego przeżycia. Lekkie podobieństwo mogło poruszyć to, co pozostało z niedokładnie wyplenionej miłości, która nie umarła śmiercią naturalną.

Wszystko, co zostało wydarte z ciała niby z ziemi, ucięte, brutalnie wytrzebione, pozostawiało w głębi zdradzieckie, żywotne korzenie, gotowe wypuścić nowe pędy pod wpływem skojarzenia, przeszczepiając doznania, ożywione tym przeszczepem pamięci.

Po stracie Johna w Sabinie utrzymywała się niewidzialna wibracja muzyczna, która sprawiała, że Sabina była niewrażliwa na mężczyzn zupełnie od niego różnych, gotowa w każdej chwili odczuć na nowo tamto przerwane pożądanie Johna.

Kiedy zobaczyła smukłą sylwetkę Donalda, taki sam mały nos, głowę osadzoną na długiej szyi, echo dawnych, burzliwych doznań było dość silne, żeby wydawać się jej nowym pożądaniem.

Nie zauważyła różnic, nie zauważyła, że skóra Donalda jest bardziej przezroczysta, włosy bardziej jedwabiste, że nie podskakiwał, lecz poruszał się płynnie, nie zauważyła, że idąc, Donald lekko powłóczy nogą, że mówi powolnym, lekko zawodzącym, matowym głosem.

Z początku myślała, że on błaznuje, kiedy parodiował miękkość kobiecych ruchów, kiedy powolnym, kuszącym uśmiechem jak gdyby naśladował mimowolne wabienie kielicha kwiatu.

Uśmiechała się pobłaźliwie, kiedy leżąc na kanapie, układał ikebanę z nóg, głowy, rąk, jak gdyby zapraszał na ucztę zmysłów.

Śmiała się, kiedy przeciągał głoski niby południowe pnącza lub zdradzał nagle przesadną surowość, niczym dzieci przedrzeźniające dla zabawy przesadną wyniosłość ojca albo cieplarniane wdzięki matki.

Kiedy przechodziła przez ulicę, cieszyła się szarmanckim uśmiechem policjanta, który zatrzymał dla niej ruch, zrywała niby kwiaty pełne pożądania spojrzenia mężczyzny, który popchnął dla niej obrotowe drzwi, chwytła błysk zachwyty pomocnika aptekarza: „Czy pani jest aktorką?”, ceniła sobie komplementy sprzedawcy mierzącego jej buty:

„Czy pani jest tancerką?" Kiedy siedziała w autobusie, traktowała promienie słońca jak osobiste przyjacielskie odwiedziny. Kiedy nagle wbiegała na jezdnię, czuła się w zabawny sposób współniczką kierowcy ciężarówki, który musiał gwałtownie zahamować i zrobił to z uśmiechem, bo to była Sabina, a kierowcy z przyjemnością patrzyli na nią, jeżeli znalazła się w ich polu widzenia.

Ale uważała to za typowo kobiecą pożywkę podobną do zapyłania. Ku jej zdziwieniu idący obok niej Donald sądził, że hołdy te jemu są składane. Wciąż, jak Sabina sądziła, kogoś naśladował: uroczego policjanta, przy którym nabierał w płuca powietrza, krągłe kształty idącej przed nimi kobiety, przy której kołysał biodrami.

Sabina wciąż śmiała się, ciekawa, kiedy skończy się ta zabawa i ukaże się prawdziwy Donald.

Na razie, siedząc naprzeciw niej przy restauracyjnym stoliku, zamawiał potrawy z przesadną arbitralnością dyrektora przedsiębiorstwa albo przemawiał do sprzedawczyni oschle niby mąż stanu, który nie ma czasu na uprzejmości. Wyśmiewał u kobiet cykliczne okresy utraty równowagi psychicznej, znakomicie naśladowując ich kaprysy i absurdalną przekorę, a na temat mody wypowiadał się ze szczegółową znajomością przedmiotu, której Sabinie brakowało. Sprawił, że zwątpiła w swoją kobiecość, widząc drobiazgową dokładność jego drobiazgowych zainteresowań. Jego upodobanie do małych róż, do delikatnej biżuterii było bardziej kobiece

niż jej barbarzyńskie, ciężkie naszyjniki, niechęć do małych kwiatów i dzieciennych, pastelowych niebieskości.

Sabina przypuszczała, że lada chwila ta figlarność pryśnie, Donald wyprostuje się i będą się razem śmiać z niedorzeczności jego stroju, koszuli dobranej do koloru jej sukni, barokowego zegarka, damskiego portfela, farbowanego srebrzyście pasma jego młodych, bujnych, złocistych włosów.

Ale on nie zaprzestawał błazeństw, drwił ze wszystkich. Przede wszystkim miał w głowie obszerną encyklopedię kobiecych wad. W galerii tej najostrożniej omijał Joannę d'Arc i inne bohaterki, Marię Curie-Skłodowską i inne kobiety, które zasłużyły się dla nauki, Florence Nightingale, Amelię Earharts, kobiety chirurgów, terapeutki, malarki, żony współpracujące z mężami. Jego gabinet figur woskowych był niewyczerpaną kopalnią przykładów kobiecej niedojrzałości i zrad. - Gdzie znalazłeś tyle odrażających kobiet? - spytała raz Sabina i nagle nie mogła się już śmiać; karykatura jest formą nienawiści.

W łagodnym zachowaniu Donalda kryła się największa perfidia. Jego pokora i łagodność usypiały, gdy tymczasem on zbierał materiał do przyszłego wyszydzenia. Spojrzenie jego było podobne do spojrzenia małego dziecka patrzącego ze swojej uprzywilejowanej pozycji na monumentalne postaci rodziców. Władzę tych potężnych tyranów można było podważyć tylko najbardziej wyrafinowaną parodią. Przykładem była matka, jego matka cała w piórach i futrach, stale zajęta jakimiś niezbyt ciekawymi ludźmi, kiedy on płakał opuszczony i musiał samotnie walczyć z groźnymi zmorami.

Ona tańczyła, flirtowała, kaprysiła, wirowała, nie zważając na jego smutki. W jej pieszczotliwym głosie tkwiły wszystkie dręczące niekonsekwencje - głos ten czytał mu bajki, a kiedy on wierzył im i zaczynał wzorować na

nich swoje życie, ten sam głos sprawiał zimną kąpiel wszystkim jego pragnieniom, tęsknotom, marzeniom i przynosił słowa gorsze niż klapsy, zamknięte drzwi albo pozbawiany deseru obiad.

I teraz, kiedy Sabina idzie obok niego, ufna, że zdoła przewyciężyć ten nienawistny wizerunek matki, zamieniając się w jej przeciwieństwo, uprzedzając każde skryte życzenie Donalda, nie tańcząc z innymi, nie flirtując, nigdy nie narzekając, skupiając na nim całe światło swojego serca, Donald widzi nie tylko ją, ale i tę drugą kobietę obecną zawsze w wiecznym trójkącie, potrójnym związku, w którym często postać matki, przechwytyjąc miłość, której Sabina pragnie, staje pomiędzy nimi, tłumaczy Donaldowi postępowanie i słowa Sabiny w kategoriach wczesnych rozczarowań, dawnych zdrad, wszystkich grzechów popełnionych wobec niego przez matkę.

Ukląkł u jej stóp, żeby zawiązać jej sandałek, nie robił jednak tego z delikatnością rozkochanego mężczyzny, ale jak dziecko u stóp posagu przejęte ubieraniem, strojeniem kobiety; jakby nie rościł sobie wobec niej żadnych praw. Spełniając ten akt pokory, zaspokajał tajony pociąg do atlasu, piór, błyskotek, ozdób, a pieszczota jego nie była przeznaczona dla stopy Sabiny, ale dla peryferii wszystkiego, co mógł pieścić, nie łamiąc podstawowego tabu — zabraniającego dotykać ciała matki.

Dotknąć spowijającego ją jedwabiu, włosów na jej głowie, kwiatów, które sobie przypinała.

Nagle podniósł głowę, a twarz jego przybrała wyraz twarzy ślepcy, który doznał olśnienia.

— Sabino! Kiedy zawiązywałem ci sandały, poczułem, że przebiegł mnie jakiś dreszcz. Zupełnie jak wstrząs elektryczny.

I zaraz równie szybko oblicze jego zasnuło się przyćmionym światłem kontrolowanych uczuć i Donald

wrócił do swojej strefy neutralnej — jakiejś pradawnej, sprzed powstania człowieka, pierwotnej wiedzy o kobiecie, wiedzy pośredniej, zakrytej, ale bez żadnej drogi wiodącej do penetracji erotycznej. Muśnięcia, jedwabiste powiewy, hołd składany tylko wzrokiem, branie w posiadanie małego palca, rękawa, gdy cała dłoń nie ważyła się nigdy spocząć na obnażonym ramieniu, lecz unikała dotknięcia, strumyki delikatnej woni kadzideł — to wszystko, co ku niej od niego płynęło.

Wstrząs elektryczny zapadł mu w podświadomość.

Dotykając obnażonej stopy Sabiny, Donald poczuł z nią jedność, przypominającą pierwotną jedność świata, jedność człowieka z przyrodą, jedność z matką, pierwsze wspomnienia o egzystencji w jedwabnym cieple bezmiernej miłości. Dotyk tej stopy sprawił, że jałowa pustynia dzieląca Donalda od innych ludzi — najeżona kolczastymi krzewami obrony, kaktusowymi odmianami emocjonalnej odrazy, które tworzyły nieprzebyte gąszcz pomiędzy nim a innymi młodymi mężczyznami, nawet gdy leżał z kimś ciało przy ciele — przestała istnieć. Nigdy w zbliżeniach erotycznych Donald nie zaznał takiego nagłego zespolenia się w jedność, jakie powstało między jej nagą stopą a jego dłońmi, pomiędzy jej sercem a jego istotą. Miał dotychczas serce Sabiny za opancerzoną kryjówkę, swoją zaś istotę odczuwał jedynie jako krystaliczną, twardą strukturę własnego dobrze znanego młodego, męskiego ciała, teraz jednak, przy Sabinie, okazała się ona miękka i bezbronna.

W jednej chwili uświadomił sobie całą swoją kruchość, zależność, pragnienie. Sabina zbliżała się, jej twarz rosła, w miarę jak pochylała się nad nim, oczy były coraz żywsze, cieplejsze, coraz bliższe, topiły jego wrogość.

Takie obnażenie się przy niej było przerażające, a zarazem cudowne. Jak we wszystkich tropikalnych klimatach miłości skóra mu się wygładziła, włosy stały się bardziej jedwabiste, sztywno skręcone, napięte nerwy rozluźniły się i wyprostowały. Wszelka potrzeba udawania znikła.

Donald poczuł, że staje się coraz mniejszy, maleje do przyrodzonych mu rozmiarów niczym w czarodziejskiej bajce, poczuł, że kurczy się bezboleśnie, żeby zmieścić się w owej kryjówce jej serca i nie silić się już na dojrzałość. Ale wraz z tym powróciły wszystkie smutki dzieciństwa —

śmiertelna udręka bezradności, bezbronność, męka pozostawania całkowicie na czyjejś łasce i niełasce.

Trzeba było koniecznie oprzeć się tej inwazji ciepła, które go zniewalało, osłabiało w nim słuszny gniew; zahamować ten proces zanikania granic i przepływu uczuć pomiędzy dwiema istotami, to, czego doświadczył już niegdyś w stosunku do matki, a co zostało potem najbrutalniej i najboleśniej zniszczone przez jej niestałość i lekkomyślność. Trzeba było koniecznie zniweczyć ten gorący fluid, który go wchłaniał, w którym tonął niby w morzu. Ciało jej jak kielich, cyborium, nisza cieni. Jej szara bawełniana suknia, układająca się niby harmonia wokół jej stóp, kryjąca pomiędzy fałdami złoty pył tajemnic, podróż przez bezkresne drogi objazdów, na których męskość jego, wpadłszy w pułapkę, zostanie pojmana.

Puścił jej nagą stopę i podniósł się sztywno. Zaczął tam, gdzie przerwał, podjął znów młodzieńczą grę w przedrzeźnianie innych. Łagodność jego przerodziła się w bezwład, ręka wyciągnięta, żeby móc Sabinie zdjąć pelerynę, była jak gdyby odcięta od reszty ciała.

Znów chodził za Sabiną, nosił jej pelerynę. Schlebiał Sabinie słowami, siadał jak można najbliżej, w jej cieniu, dość blisko, żeby rozkoszować się ciepłem emanującym z jej ciała, zawsze w zasięgu ręki, zawsze w koszuli rozpiętej pod szyją, jak gdyby rzucając skryte

wyzwanie jej dłoniom, ale usta wciąż przed nią umykały. Nosił najoryginalniejsze paski, żeby oczy Sabiny podziwiały jego talię, ale ciało przed nią umykało.

Ten rysunek w przestrzeni był kontynuacją ulotnych pieszczot Johna, echem tamtego łaskotania zmysłów. Echem nocy udreki, którą spędzili wtedy na poszukiwaniu źródeł rozkoszy, lecz zarazem unikając najłżejszego niebezpieczeństwa stopienia się ciał na podobieństwo zaślubin. Donald budził w Sabinie podobną niepewność, erotyczną gotowość zmysłów, wyrzucających w przestrzeń daremne, płonne iskry. Gry Donalda wydawały się Sabinie dziecinnym naśladowaniem dojrzałości, której nie mógł osiągnąć.

— Sabino, jesteś smutna — powiedział. — Chodź ze mną, coś ci pokażę. Jak gdyby unosząc się wraz z nią na żyroskopie wyobraźni, zawiózł ją do siebie i pokazał jej swoją kolekcję pustych klatek.

Klatki wypełniały cały jego pokój, niektóre bambusowe z Filipin, inne złożone, kute w zawiłe perskie wzory, inne spiczaste jak namioty, inne jak miniaturowe domki z nie wypalanej cegły, jeszcze inne jak afrykańskie chaty z palmowych liści. Do niektórych on sam dorobił wieżyczki, średniowieczne wieże, trapezy i dziwaczne drabinki, baseniki z luster i dokładnie skopiowaną miniaturową dżunglę, zdolną nadać tym więzieniom pozór swobody w odczuciu każdego dzikiego lub nakręcanego ptaka, który mógł zostać tam uwięziony.

— Wolę puste klatki, dopóki nie znajdę ptaka jedyneego w swoim rodzaju, ptaka, którego widziałem raz we śnie.

Sabina nastawiła gramofon z *Ognistym ptakiem*. Ostrożne kroki ognistego ptaka zabrzmiały najpierw z nieskończonej dali, każdy krok wzbijał z ziemi fosforyzujące iskry, każdy dźwięk wyzwalał złociste fanfary

najwyższej rozkoszy. Dżunglę smoczycich ogonów bijących w erotycznym szale, kocioł palących cielesnych modłów, ogromne rumowisko kolorowych szklanych fontann tryskających pożądaniem.

Sabina podniosła igłę, przerywając raptownie muzykę w pół tonu.

— Dlaczego? Dlaczego? - krzyknął Donald, jak gdyby zadano mu cios nożem.

Sabina uciszyła ogniste ptaki pożądania i wyciągnęła ramiona niczym szeroko rozpostarte skrzydła, skrzydła już nie pomarańczowe, a Donald powierzył się ich opiekuńczym objęciom. Obejmował tę Sabinę, która była mu potrzebna — żywicielkę, tę, która spełnia obietnice, ceruje i robi na drutach, przynosi ulgę i pocieszenie, koce i poczucie bezpieczeństwa, ciepło, lekarstwa, syropy, tę, która podtrzymuje na duchu.

— Ty jesteś ognistym ptakiem i właśnie dlatego, zanim przyszedł, moje klatki stały puste. To ciebie chciałem schwytać.

A po chwili z łagodną, uległą czułością opuścił rzęsy i dodał:

— Wiem, że nie mam sposobu, żeby ciebie tu zatrzymać, nic, żeby nie pozwolić ci odejść...

Piersi jej nie wieńczył już płomień, stały się one piersiami matki, płynął z nich pokarm. Sabina nie kochała już nikogo innego, chciała tylko spełniać pragnienia Donalda. Jestem kobietą - myślała - jestem ciepła, czuła, karmiąca. Jestem płodna i dobra.

Jakże łagodną się stała, wcielając się w kobietę matkę! Pokorna, przejmująca służebną rolę matki, jaką знаła we własnym dzieciństwie. Kiedy znajdowała małe kartki od Donalda informujące ją bezładnie i śpiesznie, gdzie jest i kiedy wróci, na końcu zawsze był dopisek: Jesteś wspaniała. Jesteś wspaniała i dobra. Szczodra i łagodna".

I słowa te koły jej niepokój bardziej niż zaspokojenie zmysłów, koły jej namiętność. Wyzbywała się innych Sabin, ufna, że wyzbywa się niepokoju. Z każdym dniem kolory jej sukien stawały się mniej jaskrawe, chód mniej drapieżny. Jak gdyby jej połyskliwe upierzenie traciło w niewoli połysk. Czowała, że zaszła w niej zmiana. Wiedziała, że traci pióra. Ale nie wiedziała, co traci, przystosowując się do potrzeb Donalda.

Pewnego dnia, idąc na górę po schodach z torbą pełną zakupów, spostrzegła swoją bladą postać w zamglonym lustrze i uderzyło ją, jak bardzo podobna jest teraz do swojej matki.

Chwytną ją w sidła wyobraźni jako swego ognistego ptaka (choć brak klimatu erotycznego nieco przyćmił ptakowi upierzenie), Donald nie tylko osiągnął zaspokojenie własnych potrzeb, ale umożliwił Sabinie utożsamienie się z postacią jej matki, która była dla niej uosobieniem dobroci — jej matki, żywicielki, pocieszycielki, miękkiej, ciepłej, płodnej.

W zmętniałym lustrze ujrzała cień swojej matki niosącej żywność. Odzianej w suknię neutralnej barwy samozatarcia — wyblakłą szatę poświęcenia, zwykły uniform dobroci.

W świecie Donalda, w świecie swojej matki Sabina poczuła się na chwilę uwolniona od ciężaru winy.

Teraz wiedziała, co ma powiedzieć Donaldowi, żeby uleczyć go z kompleksu, że tak mało znaczy, że tak mało znaczy to, co jej dał. Powie mu: „Donaldzie! Donaldzie! Dałeś mi coś, czego nie mógł mi dać nikt inny, dałeś mi niewinność! Pomogłeś mi odnaleźć drogę do spokoju, którego zaznawałam jako dziecko. Kiedy byłam dziewczyną, niewiele młodszą, niż ty jesteś teraz, po dniach upajania się lekturą, zabawami, fantazjowaniem na temat ludzi, płomiennymi przyjaźniami, dniami spędzonymi na ukrywaniu się przed rodzicami, ucieczkami, wszystkim, co uważano za niewłaściwe, przekonywałam się, że pomagając matce, gotując, cerując, czyszcząc, szorując, w kieracie zajęć, których nie znosiłam najbardziej, mogę uciszyć głodne i despotyczne sumienie. To nie zbrodnia, że pozostałeś dzieckiem. Wiesz, w niektórych starych bajkach dorośli często znów się stają mali, tak jak Alicja, żeby przeżyć od nowa swoje dzieciństwo. To tylko my, reszta, jesteśmy obłudni, udajemy dużych i silnych. Ty po prostu nie potrafisz udawać”.

Kiedy weszła do pokoju, na swoim stoliku znalazła list.

Pewnego razu, gdy nastroje Donalda były zbyt zmienne, powiedziała:

„Dojrzewanie jest jak kaktus”, a on odrzekł: „Napiszę do ciebie kiedyś list mleczkiem kaktusowym”.

I oto miała ten list!

List do aktorki:

„Z tego, co powiedziałaś mi wczoraj, widzę, że nie wiesz, jak wielka jest twoja siła. Przypominasz kogoś, kto spala się w miłości, w akcie ofiary, nie wiedząc, jakie cuda dokonują się za jego sprawą. Wczoraj, tego ostatniego wieczora, patrząc, jak grasz Kopciuszka, zrozumiałem, że utożsamiasz się z każdą swoją rolą, że osiągnęłaś stan, kiedy sztuka i życie łączą się i jest tylko BYT. Czułem twój głód i marzenia, twoją litość i pragnienia, kiedy ty budziłaś to wszystko we mnie. Czułem, że nie grasz, ale śnisz, czułem, że my wszyscy, którzy na ciebie patrzymy, możemy wyjść z teatru i od razu przenieść się w sposób magiczny na inny bal, do innej śnieżycy, do innej miłości, do innego snu. Na naszych oczach spalałaś się w miłości i we śnie o niej. Płomień twoich oczu, twoich ruchów, niby stos ofiarny. Wielka jest twoja siła. Nigdy nie używaj już słowa: ekshibicjonizm. Twoja gra jest objawieniem. Potrafisz wyra-

zić to, czego dusza tak często nie jest w stanie wypowiedzieć, bo ciało to narzędzie nie dość precyzyjne. Zwykle ciało zdradza duszę. Ty masz dar nawiązywania kontaktu z widzem, potrafisz przekazywać uczucia poprzez nieskończoną różnorodność swoich ruchów, zmienność rysunku ust, lekkie trzepotanie rzęs. A twój głos, bardziej niż jakikolwiek inny połączony z oddechem, z brakiem tchu ze wzruszenia, zapiera też dech w piersi innym, prowadząc ich do królestwa milczenia, w którym sami wstrzymują oddech. Tak wielka jest twoja potęga, Sabino! Ból, który czułaś później, nie był bólem porażki ani ekshibicjonizmu, jak mówiłaś, musiał to być ból wielkiego odsłonięcia duszy, jak gdyby w ogromnym, mistycznym objawieniu litości, miłości i tajonych złudzeń, po którym spodziewałaś się od publiczności zrozumienia i odpowiedzi niby na magiczny rytuał. Musiał to być wstrząs, kiedy widownia nie spełniła twoich oczekiwań, kiedy pozostawała nieodmieniona. Ale dla tych, co reagowali na twoją grę tak jak ja, jesteś czymś więcej niż aktorką, która potrafi przekazać innym zdolność odczuwania, uwierzenia. Dla mnie zdarzył się cud. Sprawiałaś wrażenie jedynej żywej istoty wśród aktorów. Nie traktowałaś tego jak gry i zraniło cię, że wraz z nią urwał się sen. Powinno się chronić cię przed gwałtownymi przeistoczeniami. Powinno się znosić ciebie ze sceny na rękach, żebyś nie odczuła zmiany poziomu. Ze sceny na ulicę, z ulicy do domu, a stamtąd na inny bal, w inną miłość, pod inną śnieżycę, do innej pary złotych pantofelków. Wielkiej odwagi potrzeba, żeby dawać wielu ludziom to, co zwykle daje się tylko osobie ukochanej. Głos odmieniony przez miłość, pożądanie, uśmiech nie ukrywanej, nagiej czułości. Wolno nam uczestniczyć w chwilach, kiedy ujawniają się wszelkie uczucia — czułość, gniew, słabość, osamotnienie, dziecinność, uczucia spontaniczne, te, które wyrażamy zwykle tylko wobec osoby ukochanej. I dlatego kochamy aktorki. Ujawniają przy nas swoją najskrytszą naturę, która obnażać się może tylko w akcie miłości. Otrzymujemy wszystkie skarby, pieszczotliwe spojrzenia, intymne gesty, sekretne tony głosu. Tę

szczerłość, która znika od razu, kiedy mamy do czynienia z niepełnym zaangażowaniem, z kimś, kto rozumie nas tylko częściowo, tę cudowną szczerłość, która cechuje miłość bez granic. W ten sposób mogłem stać się świadkiem misterium wielkiej miłości, która w życiu jest dla mnie niedostępna. A teraz, Sabino, nie potrafię znieść małej miłości, a mimo to nie mogę wymagać, żebyś poświęciła mi całe twoje uczucie, i co dzień widzę teraz twoją wielkość, doskonałość, gdy ja to tylko fragment, zabłąkany..."

Sabina przesunęła list, którego rogi kłuły leciutko jej piersi...

„Cóż mogę ci dać — pytał. — Co mam ci do zaofiarowania?” — wołał w udręce, myśląc, że właśnie dlatego nie widział jej już od trzech dni i nie miał od niej żadnej wiadomości. Kiedy indziej powiedział żartobliwie: „Mogę cię tylko nadgryzać”. I zacisnął na jej ramieniu drobne, równe zęby.

Wzbijanie się w powietrze i powroty na ziemię tancerek nasunęły Sabinie obraz japońskiej parasolki z kolorowego papieru, którą wpinała kiedyś we włosy. Miło było na nią patrzeć, była taka delikatna. Kiedy padał deszcz i inni otwierali parasole, ona musiała właśnie swoją parasolkę złożyć.

Ale silny wiatr podarł ją, a kiedy Sabina pojechała do Chińskiej Dzielnicy, żeby kupić inną, właścicielka sklepu wrzasnęła: „To japońska, niech ją pani wrzuci do rynsztoka!”

Sabina spojrzała na parasolkę, niewinną i kruchą, zrobioną w czasach pokoju przez rzemieślnika marzą-

cego o pokoju, parasolkę podobną do kwiatu, nikłą wobec wojny i nienawiści. Wyszła ze sklepu i spojrzała do rynsztoka, ale nie mogła się zmusić do wyrzucenia parasolki. Złożyła ją łagodnie, zwijając delikatne ogrody, kruchy twór marzenia, marzenia o pokoju, niewinną muzykę marzeń niewinnego rzemieślnika, którego dłonie nie robiły kul. Podczas wojny nienawiść pomieszała wszystkie wartości, nienawiść spadła na katedry, obrazy, muzykę, rzadkie okazy książek, na dzieci, na niewinnych przechodniów.

Sabina złożyła list tak, jak składała tamtą parasolkę, z dala od nienawiści i gwałtu. Nie potrafiła włączyć się w gniewne tętno świata. Należała do kręgu spraw mniejszych, tych, które stanowiły przeciwieństwo wojny. Istnieją prawdy, które kobiety muszą chronić, gdy mężczyźni idą na wojnę. Kiedy wszystko wyleci w powietrze, papierowa parasolka podniesie główkę znad ruin i przypomni ludziom o pokoju i czułości. Alan sądził stale, że sprawia Sabinie przyjemność, idąc z nią do teatru, i w pierwszych chwilach twarz Sabiny zawsze płonęła niepewnością, zaciekawieniem. Ale po pewnym czasie zachodziła w niej nieuchronna zmiana - Sabina stawała się niespokojna, wytrącona z równowagi, ruchy miała chaotyczne, nerwowe. Płakała nawet cicho w ciemności i ukrywała się podczas przerw, żeby nie pokazywać zapłakanej twarzy.

- Co ci jest? Co ci jest? - pytał cierpliwie Alan, podejrzewając ją o zawiść lub zazdrość o role powierzone innym aktorom. — Mogłabyś być najwspanialszą aktorką naszych czasów, gdybyś chciała się temu poświęcić bez reszty, ale sama wiesz, jak bardzo nie lubisz dyscypliny i jednostajności.

- Nie o to chodzi, nie, nie o to chodzi - i Sabina nie mówiła nic więcej. Komu mogłaby wyjaśnić, że zazdrości aktorom tylko łatwości, z jaką wychodzą ze swoich ról, zmywają je z siebie po spektaklu i znów stają się sobą. Chciałaby, żeby przemiany osobowości, jakie w niej zachodzą, odbywały się na scenie, żeby na dany sygnał mogła mieć pewność, że gra skończona, że może już wrócić do stałej, niezmiennej Sabiny.

Ale kiedy pragnęła skończyć grę, stać się znów sobą, jej partner czuł się potwornie zdradzony i nie tylko buntował się przeciw przemianie, ale gniewał się na Sabinę. Kiedy rola w stosunkach z drugim człowiekiem została raz ustalona, zmiana jej była prawie niemożliwa.

A nawet gdyby się to udało, gdyby nadeszła chwila powrotu do Sabiny pierwotnej, gdzie miała tej Sabiny szukać? Czy gdyby zbuntowała się przeciwko swojej roli wobec Donalda, gdyby znów nastawiła płytę z *Ognistym ptakiem*, werble zmysłów, języki ognia, gdyby wyparła się matki, która w niej żyła, czy byłby to powrót do Sabiny prawdziwej? Kiedy stawiała znów igłę na płycie i przypominała sobie chwilę pierwszego swego zetknięcia się z pożądaniem, czy Sabina nie czuła wówczas, że to ojciec kieruje jej posunięciami? Jej ojciec nakarmiony przez matkę wyszukanymi potrawami, ubrany w wyprasowaną przez nią koszulę — ojciec, który po złożeniu pocałunku na czole niepięknym, wilgotnym z wysiłku, kiedy już pozwolił spracowanym dłoniom matki zawiązać sobie krawat, zostawiał ją z Sabina, a sam szedł dumnie na przechadzkę pobliskimi ulicami, gdzie znany był z urody i swoich samotnych spacerów.

Jakże często wyperfumowane, wymalowane, przystojne kobiety zatrzymywały Sabinę na ulicy, całując ją, głaszcząc jej długie włosy i mówiąc: „Ach, więc to jest Sabina! Jesteś jego córką! Tak dobrze znam twojego ojca”. Nie słowa, ale poufałe spojrzenie, buduarowy ton, oto co niepokoiło Sabinę. To wspomnienie znajomości z ojcem zapalało w oczach tych kobiet błyski, których przedtem nie było, sygnał tajemnych rozkoszy. Nawet jako dziecko Sabina umiała ten sens odczytać. Była dzieckiem rozkoszy zrodzonym z jego sztuki uwodzicielskiej, a one pieściły ją niby jeszcze jeden przejaw rytuału, którego istnienie wyczuwała, a od którego jej matka odsunięta została na zawsze. „Byłam bardzo bliską znajomą twojego ojca!” Zawsze te pochylające się nad nią piękne kobiety, rozsiewające nienawistny zapach perfum, który chcąc nie chcąc wdychała; kobiety w sztywnych spódnicach i z wyzywająco

odsloniętymi kostkami nóg. Za te wszystkie upokorzenia Sabina chciała ojca ukarać, ukarać go za to, że profanował wiele letnich wieczorów, odbywając wędrówki, które dawały prawo tym kobietom zachwycać się nią niczym jeszcze jedną z jego kobiet. Gniewała się też na matkę o to, że matka się nie gniewała o tamto, że przygotowywała go i ubierała dla tamtych intruzek.

Czy to Sabina odprawiała teraz z zapamiętaniem własny rytuał rozkoszy, czy też ojciec, który w niej żył, jego krew nadająca jej kochliwe usposobienie, pchająca ją do przygód? On złączony z nią nierozzerwalnie więzami dziedziczności, których nigdy nie będzie już mogła rozerwać, żeby przekonać się, gdzie się kończy Sabina, a zaczyna jej ojciec, którego rolę objęła poprzez alchemię naśladowczej miłości.

Gdzie jest Sabina?

Spojrzała na niebo i zobaczyła twarz Johna ścigającego w szaleńczym pędzie chmury, czar jego nikł jak dym z niebiańskich stosów. Zobaczyła miękki, nocny blask w oczach Mamby, gdy obejmując ją, mówił: „Nie kochasz mnie”; zobaczyła Filipa śmiejącego się śmiechem zdobywcy, gdy ją obejmował, a czar jego prysł również wobec zamyślanej, dalekiej twarzy Alana. Niebo tworzyło ciepłe okrycie ze świecących na Sabinę oczu i ust, powietrze pełne było głosów ochrypłych od zmysłowych spazmów, to łagodnych i pełnych wdzięczności, to znów nieufnych, więc Sabinę ogarnęło przerażenie, bo nie było Sabiny, JEDNEJ Sabiny, ale mnóstwo Sabin kładących się ulegle, rozdzieranych na części, które szymbowały we wszystkie strony, tworzyły całe konstelacje, a potem się rozpadały. Drobna Sabina, tak słaba wewnętrznie, ciągnęła za sobą ogromną falę rozszczepień.

Patrzyła w górę na sklepienie nieba, ale nie było to niebo dające schronienie ani krypta, ani przystań, był

to bezmiar, do którego nie mogła przylgnąć, więc Sabina szlochała:
— Niech mnie ktoś zatrzyma, zatrzyma, żebym przestała gnać od miłości
do miłości, rozpraszając się, rozpadając się na części... Niech mnie ktoś
utrzyma przy j e d n e j miłości...

Wychylając się z okna o świcie, przyciskając piersi do parapetu,
wyglądała ciągle w nadziei, że zobaczy to, czego nie udało się jej
osiągnąć. Patrzyła na dobiegające kresu nocy i na przechodniów z żywym
zaciekawieniem podróżnego, który nigdy nie dociera do celu w
odróżnieniu od zwykłych ludzi, co pod koniec każdego dnia docierają do
stacji końcowych, godząc się na postoje, samotność, przystanie, gdy ona
nigdy nie potrafiła się z nimi pogodzić.

Sabina czuła się zagubiona.

Igła szalonego kompasu, której wahaniom zawsze była posłuszna, dążąc w zamęt i burzę zamiast w bezpiecznym kierunku, igła ta pękła nagle i Sabina nie mogła już nawet doznać ulgi odpływów, przyływów i rozproszenia.

Czuła się zagubiona. Rozpad przebrał miarę, stał się zbyt rozległy.

Bolesne ostrze wbijało się w każde z istnień Sabiny. Dotychczas Sabina poruszała się tak szybko, że ból przepływał niby przez sito, pozostawiając małe, jakby dziecięce smutki, prędko zapomniane, kiedy uwagę przyciągało już coś innego. Dotychczas Sabina nie zaznała chwili spokoju.

Peleryny, która była czymś więcej niż peleryną, która była żaglem, uczuciem rzuconym na cztery wiatry, żeby je napięły i uniosły w powietrze, peleryny tej nie poruszał teraz najłżejszy powiew.

Najłżejszy powiew nie poruszał sukni.

Tak jakby Sabina nie była już czymś, co wiatr może porwać, napiąć i pchnąć naprzód.

Dla Sabiny ta cisza morska równała się śmierci.

Niepokój przeniknął do jej ciała i zatrzymał się w nim. Srebrzyste otworki filtra chroniącego przed smutkiem, darowanego jej w chwili narodzin, zatkały się. Teraz ból zamieszkał w Sabinie, nie sposób było przed nim uciec.

Zgubiła siebie gdzieś na statku zmyśleń, opowieści, świata fantazji i prawdziwego „ja”. Granice zatarły się,

ślady się pogubiły. Wkroczyła w zupełny chaos, który nie porywał niby cwałowanie romantycznych jeźdźców z oper i baśni, lecz odsłaniał nagle sceniczne rekwizyty - na przykład rumaka z tektury.

Sabina straciła żagle, pelerynę, rumaka, siedmiomilowe buty, i wszystko to naraz. Osiadła na mieliźnie w półmroku zimowego wieczoru.

Nagle, jak gdyby po raz pierwszy, wszystkie siły i ciepło zostały wciągnięte w głąb, powodując obumieranie powłoki zewnętrznej, obrzmienie języka i podniebienia, powolność ruchów, przytępienie słuchu. Sabinę przebiegł zimny, jesienny dreszcz, pierwszy raz poczuła, że zeszcłe liście jej istoty odrywają się od ciała.

Kiedy weszła do nocnego klubu Mamby, zauważyła nowe obrazy na ścianach i przez chwilę zdawało się jej, że jest znów w Paryżu przed siedmiu laty, kiedy pierwszy raz na Montparnasse spotkała Jaya.

Od razu poznała jego obrazy.

Malował tak jak przedtem, kiedy wystawiał w Paryżu, stosując wobec ciała i uczuć wszystkie naukowe metody rozbijania atomu. Przedstawione przez niego postacie eksplodowały, tworząc konstelacje odłamków niczym rozsypane łamigłówki, każdy fragment odrzucony dość daleko, żeby sprawić wrażenie utraconego bezpowrotnie, ale zarazem nie dość daleko, żeby stracić związek z całością. Przy pewnym wysiłku wyobraźni można było odtworzyć kompletną postać ludzką z tych odłamków, które przed całkowitym unicestwieniem w przestrzeni chroniło jakieś niewidzialne napięcie. Jedna chwila, w której zadziałałaby siła dośrodkowa, mogłaby jeszcze zespolić te odłamki, tworząc postać kobiety.

Malarstwo Jaya nie zmieniło się, zmiana zaszła w Sabinie, która po raz pierwszy rozumiała jego obrazy. W tej chwili widziała na ścianie dokładny wizerunek swego stanu ducha.

Czy malował Sabinę, czy coś, co działo się z kobietami, podobnie jak w chemii, jak w nauce? Odkryli wszystkie żrące kwasy, wszystkie formy rozpadu, poznali całą alchemię odosobnienia.

Ale kiedy malarz ujawniał to, co dzieje się wewnątrz ciała i uczuć ludzkich, morzono go głodem albo zmuszano, żeby dekorował wystawy sklepowe na Piątej Alei, gdzie na tle Paryża nocą prezentowano modne kapelusze, buty, torebki i paski bujające osobno w powietrzu i czekające chwili, gdy połączą się na jednej całkowitej kobiecie.

Sabina stała przed obrazami i uświadamiała sobie teraz te najdrobniejsze szczegóły swojego postępowania, które uważała dawniej za błahe, a które powodowały maleńkie rysy na osobowości, prowadziły do jej rozpadu. Jakiś gest, pocałunek ofiarowany na przyjęciu młodemu mężczyźnie, który skorzystał z podobieństwa do utraconego Johna, ręka, którą podała w taksówce nie pożądanemu mężczyźnie, a podała ją tylko dlatego, że marzył on o ręce innej kobiety, a Sabina nie mogła znieść tego, że jej własna ręka leży na kolanach i nikt jej nie pragnie — była to bowiem zniewaga dla jej siły uwodzicielskiej. Słowo pochwały dla obrazu, który się jej nie podobał, rzucone ze strachu, że malarz powie: „Och, Sabina... Sabina nie zna się na malarstwie”.

Wszystkie małe nieuczciwości przesączały się jak niewidoczne strumyczki kwasu, wyrządzały ogromne szkody, proces rozpadu wprawiał każdą cząsteczkę Sabiny w ruch obrotowy niczym osobne fragmenty zderzających się planet, wysyłał ją do różnych sfer, a jednak żadna z tych cząsteczek nie miała dość siły, żeby ulecieć w przestworza jak ptak; żadna nie była organizmem dość samodzielnym, żeby stać się nowym życiem, obracać się wokół własnej osi.

Malarstwo Jaya było tańcem cząsteczek w rytmie rozpadu. Był to również portret obecnej Sabiny.

Wszystkie poszukiwania ognia, który by stopił te fragmenty w jedną całość, szukanie w ognisku rozkoszy fragmentów stopionych w jedną wielką miłość, w kobietę jednorodną, spełzły na niczym!

Kiedy Sabina odwróciła się od obrazów, zobaczyła Jaya siedzącego przy jednym ze stolików. Z twarzy, bardziej niż kiedykolwiek, przypominał Lao-Cy. Na pół łysą czaszkę okalały teraz śnieżnobiałe włosy.

Półprzymknięte wąskie małe oczy śmiały się.

Ktoś stojący pomiędzy Sabina a Jayem nachylił się, żeby pogratulować mu jego wystaw sklepowych przy Piątej Alei. Jay roześmiał się wesoło.

— Potrafię oszalać — powiedział — a kiedy ludzie są oszołomieni sztuką nowoczesną, reklamy mogą ich skutecznie zatruwać.

Pomachał do Sabiny, zachęcając ją, żeby z nim usiadła.

— Oglądałaś mój stos atomowy, w którym bombarduje się mężczyźni i kobiety, żeby odkryć tajemne źródło ich siły, nowe źródło energii?

Mówił do niej tak, jak gdyby od ostatniego spotkania w paryskiej kawiarni nie dzieliły ich lata. Zawsze prowadził tę samą rozmowę, zaczęta nie wiadomo gdzie, może w Brooklynie, w którym się urodził, rozmowę podtrzymywaną wszędzie i zawsze, odkąd Jay wkroczył w krainę kawiarni i znalazł słuchaczy. W ten sposób mógł na przemian malować i rozmawiać, tworząc nie kończący się łańcuch dysput.

— Znalazłeś swoją siłę, nowe źródło energii? — spytała Sabina. — Bo ja nie.

— Ja też nie — powiedział Jay, udając skruchę. — Przyjechałem właśnie do kraju z powodu wojny. Kazali nam wyjechać. Każdy, kogo nie mogą powołać do wojska, jest dla Francji tylko jeszcze jedną gębą do wyżywienia.

Konsulat przysłał do nas posłańca z rozkazem: „Wszyscy niezdolni mają opuścić Paryż”. W jednym dniu wyjechali wszyscy malarze, jakby wybuchła zaraza. Nie sądziłem nigdy, że malarze zajmują tyle miejsca! My artyści - obywatele świata - stanęliśmy wobec groźby głodu albo obozów koncentracyjnych. Pamiętasz Hansa? Chcieli odesłać go z powrotem do Niemiec. Paul Klee mniejszego formatu, to prawda, a jednak zasługuje na lepszy los. A Zuzannę odesłali do Hiszpanii, nie miała papierów, jej sparaliżowany mąż, Węgier, trafił do obozu. Pamiętasz róg Montparnasse i Raspail, gdzie wystawialiśmy godzinami, mówiąc sobie dobranoc, zabłądziłabyś natychmiast po wyjściu z kawiarni, rozplynęłabyś się w ciemnościach nocy. Nasze zachowanie przestało być niewinne. Nasza zwykła buntowniczość stała się poważną zbrodnią polityczną. Barkę, w której mieszkała Djuna, zarekwirovano do przewożenia węgla. Przerobić da się wszystko z wyjątkiem artystów. Jak można nawracać burzycieli dawnego i współczesnego porządku, chronionych odszczepieńców, tak czy owak wysiedlonych z rzeczywistości, tych, co rzucają bomby atomowe myśli, uczuć i chęć wyzwolić nowe siły, i stworzyć nowy sposób myślenia za pomocą nieustannych przewrotów?

Kiedy patrzył na Sabinę, oczy jego zdawały się mówić, że nic się nie zmieniła, że dla niego wciąż jest prawdziwym symbolem gorączki, niepokoju, wrzenia i anarchii w sposobie życia, któremu przyklaskiwał w Paryżu siedem lat temu.

W tej chwili obok Jaya usiadł ktoś jeszcze.

- Sabino, przedstawiam ci Rąbankę. Rąbanka jest tu naszym najlepszym przyjacielem. Kiedy przesadza się ludzi, są jak rośliny - z początku usychają, więdną, niektórzy giną. Wszyscy przechodzimy kryzys, chorujemy po zmianie gleby. Rąbanka pracuje w kostnicy. Jego sta-

łe stykanie się z samobójcami i potworne ich opisy powstrzymują nas przed odebraniem sobie życia. Włada szesnastoma językami i dlatego jest jedyną osobą, która może rozmawiać ze wszystkimi artystami, przynajmniej na początku wieczora. Potem upija się do nieprzytomności i jest w stanie używać tylko esperanta alkoholików, języka pełnego zająknięć, pochodzącego z geologicznych warstw naszych zwierzęcych przodków.

Ukontentowany takim wprowadzeniem, Rąbanka odszedł od stolika i zajął się mikrofonem. Ale Jay pomylił się, bo chociaż była dopiero dziewiąta, Rąbanka miał już kłopoty z ustawieniem mikrofonu. Starał się trzymać go pipnowo, ale mikrofon uginał się, pochylał, kołysał w jego uścisku niby giętka, młoda trzcina. Miało się wrażenie, że ten rozpaczliwy uścisk doprowadzi w końcu do wspólnego upadku i Rąbanka legnie wraz z mikrofonem na podłodze niczym para zaślepionych żądzą kochanków.

Kiedy Rąbanka złapał chwilowo równowagę, nabrał rezonu i zaczął śpiewać w szesnastu językach (łącznie z esperanto alkoholików), przechodząc szybkie metamorfozy, stając się francuskim pieśniarzem ulicznym, to znów niemieckim śpiewakiem operowym, wiedeńskim piosenkarzem do wtóru katarynki i tak dalej.

Potem wrócił do stolika Jaya i Sabiny.

— Dziś wieczór Mambo zamknął mi kredyt wcześniej niż zwykle. Jak sądzicie, dlaczego? Nie powinienem być wobec niego taki lojalny. Ale on nie chce, żebym stracił pracę. O północy muszę uprzejmie przyjąć zmarłych. Nie wolno mi jąkać się, ani palnąć gafy. Nieboszczycy są drażliwi. Ale, mam świetne samobójstwo, o którym muszę opowiedzieć emigrantom: europejska śpiewaczka, którą psuto i rozpieszczano w ojczyźnie. Powiesiła się na wszystkich swoich kolorowych szalach związa-

nych razem. Jak myślicie, może chciała naśladować śmierć Isadory Duncan?

- Nie sędzę - powiedział Jay. - Potrafię odtworzyć całą scenę. Śpiewaczka nie zdobyła tutaj popularności. Jej obecne życie było szare, zapomniano o niej, a może była nie dość młoda, żeby po raz drugi zawojować publiczność... Otworzyła swój kufer pełen programów z dawnych triumfów, pełen wycinków z gazet chwalących jej głos i urodę, pełen zasuszonych kwiatów, które niegdyś dostawała, pełen pożółkłych listów miłosnych, pełen kolorowych szali, które przyniosły znów zapach perfum i barwy dawnych sukcesów, no i przez kontrast dzisiejsze życie stało się nie do zniesienia.

-Masz zupełną słuszność - powiedział Rąbanka. -Z pewnością tak właśnie było. Powiesiła się na pępowinie przeszłości.

Mówił bełkotliwie, jak gdyby zaczął w nim buzować cały wypity alkohol.

- Czy wiesz, dlaczego jestem tak lojalny wobec Mamby? - powiedział do Sabiny. - Wy tłumaczę ci. Ze względu na mój zawód ludzie starają się zwykle o mnie zapominać. Nikt nie lubi, żeby mu przypominać o śmierci. Być może ludzie nie zamierzają ignorować mnie osobiście, ale tych, z którymi przestaję. Nie przejmuję się tym przez cały rok, ale w Wigilię jest mi przykro. Kiedy nadchodzą święta, tylko ja nie dostaję nigdy kart z życzeniami. I jeśli chodzi o moją pracę w kostnicy, to jedyna rzecz, której nie mogę znieść. Więc kilka dni przed Wigilią powiedziałem Mambie: „Nie zapomnij przysłać mi życzeń. Należy mi się w końcu choć jedna kartka świąteczna. Zasługuję chyba na to, żeby czuć, że choć jedna osoba myśli o mnie w święta, jak gdybym był człowiekiem jak każdy inny". Ale wiesz, jaki jest Mambo. Obiecał, uśmiechnął się, ale kiedy zacznę bębnić, wpada w jakiś amok, nie da się otrzeźwić. Przez ty-

dzień nie mogłem spać, myślałem, że Mambo zapomni, i jak będę się czuł w Wigilię, kiedy nikt nie będzie o mnie pamiętać, jakbym już nie żył... No, a Mambo nie zapomniał.

Wtem z niespodziewaną szybkością wyciągnął z kieszeni klakson samochodowy, przyczepił go do butonierki i nacisnął niby kobieta spryskująca się obficie perfumami z rozpylacza.

— Słuchajcie języka przyszłości — powiedział. — Słowo zaniknie zupełnie i właśnie tak ludzie będą ze sobą rozmawiać!

Po czym Rąbanka uklonił się, panując zdumiewająco nad napierającymi na tamę jego grzeczności falami alkoholu i przygotował się do wyjścia, gdyż czas był, aby stanął do swych obowiązków w kostnicy.

Mambo zaczął grać, a oczy Sabiny znów zapłonęły gorączką, robiła wrażenie schwytej w pułapkę, całkiem jak wtedy, kiedy Jay zobaczył ją po raz pierwszy.

Ubrana w czerwień i srebro budziła mu w pamięci odgłosy i obrazy pędzącej ulicami Nowego Jorku straży ogniowej wypełniającej serce biciem na alarm.

Cała ubrana w czerwień i srebro, czerwień i srebro przesywające ciało na wyłot.

Kiedy pierwszy raz spojrział na nią, poczuł: „Wszystko splonie!”

Poprzez srebro i czerwień, i długie wołanie na alarm skierowane do poety, który tkwi w każdej istocie ludzkiej, podobnie jak pozostaje w nim coś z dziecka — temu właśnie poecie rzuciła nagle w samym sercu miasta drabinę i nakazała: Schodź!”

Gdy się ukazała, regularne szeregi domów rozstały się, aby zrobić miejsce dla nieskończonej długiej, pionowej drabiny, po której kazała mu się wspinać, a która niczym u barona Munchhausena prowadziła wprost do nieba.

Tylko że jej drabina prowadziła w płomienie.

Jay roześmiał się i potrząsnął głową zdumiony, że tak mało się zmienił obraz Sabiny, który miał w pamięci. Przez siedem lat *nie nauczyła się jeszcze siedzieć spokojnie. Gorączkowe słowa cisnęły się jej na usta bez przerwy, do utraty tchu, jak komuś, kto boi się ciszy. Siedziała tak, jakby nie mogła usiedzieć przez dłuższą chwilę, a kiedy wstała, żeby kupić papierosy, równie gorąco pragnęła już być z powrotem na swoim miejscu. Niecierpliwa, czujna, ostrożna, jak gdyby lękała się napaści, niespokojna i ożywiona, piła pośpiesznie, uśmiechała się tak przelotnie, że nie mógł być wcale pewien, czy to rzeczywiście uśmiech, docierała do niej tylko część tego, co do niej mówiono, a nawet wtedy, kiedy ktoś od baru przechylił się ku niej i zawołał ją po imieniu, nie odpowiedziała od razu, jakby to nie było jej prawdziwe imię.*

Sposób patrzenia na drzwi baru, jakby wyczekiwania sposobnej chwili, żeby uciec, te raptowne, nie skoordynowane ruchy, te nagłe chwile ponurego milczenia — Sabina zachowywała się jak człowiek, który popełnił przestępstwo i przejawia wszystkie symptomy winy.

Migotliwe światło świec, obłoki dymu tytoniowego, dźwięki zmysłowego bluesa — a mimo to Sabina czuła, że Jay o niej rozmyśla. Ale zbyt niebezpiecznie było go o coś pytać. Jay to kpiarz, mogła się po nim w tej chwili spodziewać tylko uszczypliwości, których nie zdołałaby przyjąć z uśmiechem ani zlekceważyć, a które w jej obecnym nastroju powiększyłyby tylko przygniatający ją ciężar.

Ilekcroć Jay z powolną niedźwiedzią figlarnością potrząsał dobrotliwie głową, miał zamiar zawsze powiedzieć coś miażdżącego, co nazywał swoją brutalną szczerością. Sabina nie chciała tej szczerości wyzwalać. Zaczęła więc szybką, wijącą się, kołującą opowieść

O przyjęciu, na którym wydarzyło się coś, czego nie precyzowała dokładnie; mgliste sceny, w których nie sposób było dostrzec bohaterki ani ofiary. Zanim Jay doszedł do wniosku, że poznaje miejsce (Montparnasse przed siedmioma laty, przyjęcie, na którym Sabina była naprawdę zazdrosna o mocną więź, łączącą Jaya z Lillian; o więź, którą starała się zerwać), Sabina była już gdzie indziej, mówiąc niby w rwącym się śnie, z przerwami, nawrotami, poprawkami, natłokiem fantastycznych obrazów. *Była teraz w Maroku, w łaźni arabskiej, pożyczala pumeks od miejscowych kobiet i uczyła się od prostytutek malować oczy proszkiem antymonowym kupionym na targu.*

— *Jest to czarny pył — wyjaśniła Sabina — który trzeba wsypywać prosto do oczu. Z początku piecze i łecą łzy, ale w ten sposób rozprawdza się to po powiekach*

I właśnie tak powstaje ta błyszcząca, czarna jak węgiel obwódka wokół oczu.

— *I nie dostałaś zapalenia spojówek?* — zapytał Jay.

— *O nie, prostytutki mają proszek poświęcony w meczecie.*

Wszyscy śmiali się z tej odpowiedzi, stojący w pobliżu Mambo, Jay i dwie bliżej nie określone osoby siedzące przy sąsiednim stoliku, które jednak przysunęły się z krzesłami bliżej, żeby słuchać opowieści Sabiny. Sabina nie śmiała się. Nachodziły ją inne wspomnienia z Maroka. Jay widział, że przed oczami jej przesuwiają się obrazy niby film poddawany cenzurze. Czuł, że Sabina pochłonięta jest wyłączeniem innych historii, które już-już miała powiedzieć, być może żałuje nawet, że napomknęła o łaźni, i teraz, jak gdyby wszystko, co powiedziała, wypisane było na wielkiej tablicy, wzięła gąbkę i starła to wszystko, dodając:

— W rzeczywistości nie wydarzyło się to mnie. Opowiadał mi o tym ktoś, kto był w Maroku.

I zanim ktokolwiek zdążył spytać: „To znaczy, że pani wcale nie była w Maroku?”, Sabina dalej starała się zmylić trop, dodając, że historię tę gdzieś wyczytała albo słyszała w barze, i skoro tylko starła z pamięci słuchaczy wszystkie fakty, za które można by ją bezpośrednio obciążyć odpowiedzialnością, zaczynała inną opowieść...

Opisywane przez nią twarze, postaci były zarysowane tylko połowicznie, a ledwie Jay zaczął odtwarzać sobie brakujący fragment (kiedy opowiadała o mężczyźnie szlifującym soczewkę własnego teleskopu, nie chciała mówić zbyt wiele, bojąc się, żeby Jay nie rozpoznał Filipa, z którym widywał się w Wiedniu i którego wszyscy oni w Paryżu nazywali żartobliwie — „Przedwojenny Wiedeń”), już Sabina przedstawiała inną twarz, inną postać, jak się to zdarza w snach, i kiedy Jay po namyśle doszedł do wniosku, że Sabina mówi o Filipie (z którym, nie miał teraz wątpliwości, łączył ją romans), okazało się, że Sabina nie mówi już o mężczyźnie szlifującym soczewkę teleskopu pod parasolem zwisającym ze środka sufitu, ale o kobiecie, która na koncercie w Meksyku podczas rewolucji, chcąc zapobiec panice, nie przestawała grać na harfie, gdy naraz ktoś strzelił do reflektorów i zapanowała ciemność, ale ponieważ Jay wiedział, że taką historię opowiadano o Lillian i że dotyczyła jej nie jako harfistki, ale jako pianistki, Sabina zorientowała się, że nie miała przecież zamiaru przypominać Jayowi o Lillian, bo sprawiłaby mu tym ból; a to, że Lillian porzuciła Jaya, było wydarzeniem, za które sama była częściowo odpowiedzialna, uwodząc go wówczas w Paryżu; szybko więc przekreśliła historię i w końcu Jay zastanawiał się, czy się nie przesłyszał, czy nie wypił za dużo i nie wymyślił sobie, że Sabina mówi o Lillian, bo właśnie w tej chwili opowiadała o młodym

człowieku, lotniku, któremu przykazano nie patrzeć w oczy konającym. Jay nie mógł się zorientować w kolejności różnych osób, które Sabina kochała, których nienawidziła, od których uciekała, podobnie jak nie mógł iść jej śladem w tych historiach, bo Sabina mówiła: „Byłam wtedy blondynką i miałam bardzo krótkie włosy” lub: „To było przed moim ślubem, kiedy miałam dopiero dziewiętnaście lat” (a kiedyś powiedziała, że wyszła za mąż, kiedy miała lat osiemnaście). Nie można się było połapać, kogo Sabina zdradziła, o kim zapomniała, kogo poślubiła, kogo opuściła, do kogo przyłgnęła na dłużej. Podobnie było z jej zawodem. Pierwszy raz, kiedy ją o to spytał, odpowiedziała natychmiast: Jestem aktorką”. Ale kiedy wypytywał ją dalej, nie potrafił dociec, w jakiej sztuce grała, czy miała sukces, czy spotkało ją niepowodzenie, czy też być może (jak uznał później) Sabina tylko chciała być aktorką, ale nigdy nie pracowała dość wytrwale, dość poważnie poza tą pracą, która pochłaniała ją teraz, kiedy zmieniała osobowość tak szybko, że Jayowi kojarzyło się to z kalejdoskopem.

Starał się uchwycić powtarzające się słowa, w nadziei, że posłużą mu one za klucz, ale chociaż wyrazy „aktorka”, „cudowny”, „podróż”, „wędrówka”, „znajomość” występowały dość często, nie można się było domyślić, czy Sabina używa ich w sensie dosłownym, czy w przenośni, bo dla niej nie stanowiło to żadnej różnicy. Kiedyś Jay słyszał, jak powiedziała: „Człowiek zraniony ucieka jak najdalej od miejsca, w którym zadano mu ból”, i kiedy zastanowił się, co miała na myśli, zrozumiał, że Sabina mówi o zmianach dzielnic w obrębie pięćdziesięciu przecznic w Nowym Jorku.

Sabinę opanowała gorączka zwierzeń, która zmuszała ją do lekkiego unoszenia zasłony, uchylania jej rąbka, a już po chwili czuła strach, gdy ktoś słuchał jej zbyt

uważnie, zwłaszcza Jay, któremu nie ufała, który, jak wiedziała, uznawał szczerść tylko w postaci ujawniania cudzych wad, słabości i słabostek. Gdy tylko Jay słuchał z wielką uwagą, Sabina brała dużą gąbkę i wycierała to, co powiedziała, zupełnie wszystkiemu zaprzeczając, jak gdyby ta gmatwanina była Sama w sobie płaszczem ochronnym. Najpierw zapraszała gestem i wabiła w swój świat, aby po chwili zasłonić przejścia; tasowała obrazy, jak gdyby chcąc uniknąć wykrycia.

- Fałszywe zwierzenia - powiedział w pasji Jay, zdeorientowany, zły, że Sabina go zwodzi. - Ale co ona ukrywa pod tymi fałszywymi zwierzeniami?

Zachowanie Sabiny budziło w nim zawsze (przy jego obsesyjnym umiłowaniu prawdy, odkrycia, szczerści, dążeniu do brutalnego demaskowania) żądzę przypominającą żądzę mężczyzny, który pragnie zgwałcić oporną kobietę, zniweczyć dziewictwo będące dla niego przeszkodą. Sabina zawsze wywoływała w Jayu gwałtowną chęć odarcia jej ze wszystkich pozorów, zasłon i obnażenia jej istoty, która poprzez tę ruchliwość i nieustanne zmiany oblicza wciąż mu się wymykała. Jakże słusznie malował zawsze Sabinę na wzór mandragory o mięsistych korzeniach, z jednym fioletowym kwiatem w kształcie fioletowego kielicha z narkotycznego miąższu. Jakże słusznie malował ją z czerwono-złotymi oczami, płonącymi zawsze niczym z głębi jaskiń, spoza drzew; jako jedną ze wspaniałych kobiet, niczym urzekającą roślinę tropikalną, niewskazaną jako zwykły pokarm, zbyt bowiem obfitą w pożywne składniki, aby się nadawała do codziennego jadłospisu; słusznie traktował ją jako gościa z krainy ognia i zadowalał się sporadycznym i parabolicznym uczestnictwem w jego życiu.

- Sabino, pamiętasz naszą jazdę windą w Paryżu?

— Pamiętam.

— Nie mieliśmy dokąd pójść. Wałęsaliśmy się po ulicach. Przypominam sobie, to był twój pomysł, żebyśmy wsiedli do windy.

(Byliśmy głodni siebie nawzajem, pamiętam, Sabino. Wsiedliśmy do windy i zacząłem cię całować. Pierwsze piętro. Drugie. Nie mogłem się od ciebie oderwać, choćby nawet cały Paryż na nas patrzył. Nacisnęłaś mocno guzik i całowaliśmy się dalej, kiedy winda zjeżdżała w dół. Gdy zatrzymaliśmy się na dole, było jeszcze gorzej, więc znów nacisnęłaś guzik i jeździliśmy w górę i w dół, w górę i w dół, a ludzie wciąż usiłowali zatrzymać windę i wsiąść...)

Jay roześmiał się bezwiednie na to wspomnienie, przypominając sobie zuchwałość Sabiny. W owej chwili Sabina była odarta z wszelkiej tajemnicy i Jay zakosztował jej treści — najżarliwszego szału pożądania. Błady świt w drzwiach baru uciszył ich. Muzyka urwała się już dawno, a oni nawet tego nie zauważyli. Nie ustawał rytm ich rozmowy.

Sabina szczelniej otuliła ramiona peleryną, jak gdyby światło dnia było największym wrogiem. Nie odezwała się już do tego wroga ani słowem. Przez chwilę wpatrywała się gniewnie w światło, potem wyszła z baru.

W życiu miasta nie ma chwili smutniejszej niż moment, gdy krzyżują się drogi tych, którzy nie spali przez całą noc i tych, którzy idą do pracy. Sabina miała wrażenie, że na ziemi istnieją dwa gatunki mężczyzn i kobiet, ludzie nocy i ludzie dnia, nigdy nie spotykający się twarzą w twarz poza tą właśnie chwilą. Każdy strój Sabiny, który w nocy wydawał się lśniący, o świcie tracił barwy. Stanowczy wyraz twarzy ludzi idących do pracy odczuwała niby wyrzut. Zmęczenie jej różniło się od ich zmęczenia. Pozostawiało w jej rysach piętno długotrwałej gorączki, tworzyło sine cienie pod oczami. Sabina miała ochotę ukryć przed tamtymi twarz. Spuściła głowę, żeby włosy choć trochę ją zasłoniły.

Nastroj zagubienia utrzymywał się nadal. Sabina po raz pierwszy czuła, że nie może pójść do Alana. Zbyt wielki był ciężar zatajonych spraw, zbyt wielki ciężar wspomnień, zbyt wiele snuło się wciąż za nią duchów osobowości zagadkowych i nie dość dokładnie poznanych, których sensu wciąż jeszcze nie mogła zrozumieć, ciosów i upokorzeń wciąż jeszcze bolesnych. Mogłaby wrócić i, tłumacząc się skrajnym wyczerpaniem, położyć się spać, ale spałaby niespokojnie i prawdopodobnie mówiłaby przez sen.

Tym razem Alan nie byłby w stanie wygnać z niej nastroju, który nią zawładnął. Ani też ona nie mogłaby powiedzieć mu o zdarzeniu, które nękało ją najbardziej — o mężczyźnie, którego po raz pierwszy widziała przed kilku miesiącami z okna swojego pokoju hotelowego.

Stał pod tym oknem i czytał gazetę, jak gdyby czekał, aż ona wyjdzie. Drugi raz widziała go, idąc do Filipa. Spotkała go na stacji metra, a on przepuścił kilka pociągów, żeby wsiąść do tego samego co ona. Mężczyzna nie szukał przygody miłosnej. Nie starał się wcale Sabiny zagadnąć. Wyglądało na to, że tylko obserwuje ją bezstronnie. W nocnym klubie Mamby usiadł o parę stolików dalej i pisał coś w notesie. Tak śledzi się przestępców, zanim się ich schwyta. Czy jest detektywem? O co ją podejrzewa? Czy złoży raport Alanowi? Albo jej rodzicom? Czy też zanieś swoje notatki do wszystkich groźnych budynków śródmiej-skich, w których prowadzi się wszelkiego rodzaju dochodzenia, i pewnego dnia Sabina otrzyma nakaz wyjazdu ze Stanów Zjednoczonych i powrotu do miejsca urodzenia, na Węgry, bo życie w stylu Ninon de Léñelos lub pani Bovary jest tu ustawowo zabronione? Gdyby powiedziała Alanowi, że chodził za nią jakiś mężczyzna, Alan uśmiechnąłby się i powiedział: „Cóż, to nie pierwszy raz, to jest cena, którą musisz płacić za swoją urodę. Przecież nie chciałabyś, żeby było inaczej, prawda?”

Tego pośnepnego ranka, idąc ulicami Nowego Jorku, pełnymi jeszcze nie uprzątniętych po nocy niedopałków i pustych butelek po alkoholu, zrozumiała po raz pierwszy obraz Duchampa *Akt schodzący po schodach*. Osiem czy dziesięć zarysów tej samej kobiety, niczym wielość przejawów kobiecej osobowości, podzielonej równiutko na wiele warstw schodzących zgodnym krokiem po schodach.

Gdyby poszła teraz do Alana, byłoby to tak, jakby się oderwało jeden z owych wycinków kobiety i zmusiło go, żeby szedł sam, bez pozostałych, ale okazałoby się, że oddzielony od reszty idącej zgodnym krokiem jest tylko konturem kobiety, zarysem postaci widzialnej dla

oczu, pozbawionej jednak treści wewnętrznej, treść bowiem wyparowała przez odstępy między poszczególnymi warstwami osobowości. Zaiste kobieta podzielona, podzielona na niezliczoną ilość sylwetek — i Sabina mogła sobie wyobrazić, jak ten pozorny jej kształt porzuca obecną sylwetkę Sabiny zrozpaczonej, błądzącej po ulicach w poszukiwaniu gorącej kawy, i jak Alan wita ten kształt jako zachwycająco niewinną młodzieńką dziewczynę, którą przed dziesięciu laty poślubił, której przysiągł miłość i przysięgi dotrzymuje, tylko że darzy miłością i troską wciąż tę samą poślubioną wówczas młodzieńką dziewczynę; pierwszy wizerunek Sabiny, pierwsze wręczone mu zdjęcie, pierwszy obraz z tej misternej, złożonej, wciąż się wydłużającej serii Sabin, które narodziły się później i których ona ukazać mu nie jest w stanie. Co roku, obrastając jak drzewo nowym słojem, powinna by powiedzieć: „Alanie, oto nowa wersja Sabiny, dodaj ją do poprzednich, połącz je starannie, obejmij ją mocno, trzymaj wszystkie naraz w ramionach, w przeciwnym razie rozdziela się, rozbiegną, każdy obraz Sabiny zacznie żyć własnym życiem, i nie będzie to jedna, ale sześć, siedem czy osiem Sabin, które czasem, zdobywając się z wielkim wysiłkiem na syntezę, będą kroczyły zgodnie, czasem jednak każda pójdzie osobno; jedna, wabiona głosem bębnow, zagłębi się w dżungli czarnych włosów i zmysłowych ust, inna będzie zwiedzała «Przedwojenny Wiedeń», jeszcze inna legnie przy obłąkanym młodzieńcu, jeszcze inna rozewrze macierzyńskie objęcia i przytuli drżącego, przerażonego Donalda. Czy to zbrodnia starać się skojarzyć każdą Sabinę z odpowiednim mężem, dobrać każdej kolejno odpowiedni rodzaj życia”?

Och, była zmęczona, ale nie z braku snu ani nie dlatego, że tak długo rozmawiała w zadymionej sali, że unikała drwin Jaya, wymówek Mamby, nieufności Fili-

pa, ani też nie dlatego, że Donald swoim tak bardzo dziecięcym zachowaniem sprawił, iż trzydzieści lat odczuwała niby wiek sędziwy. Sabina była zmęczona, bo wciąż starała się połączyć te rozbite fragmenty w jakąś całość. Zrozumiała też obrazy Jaya. Być może właśnie w takiej chwili osamotnienia pani Bovary zażyła truciznę. Była to chwila, kiedy skrytemu życiu grozi niebezpieczeństwo ujawnienia, a żadna kobieta nie jest w stanie znieść potępienia.

Ale dlaczego miałyby się bać zdemaskowania? Alan śpi teraz w najlepsze, a jeśli nie śpi, to spokojnie czyta.

Czy tylko postać inspektora nie odstepującego jej na krok wywołała w niej tak silny niepokój?

Wina to jedyne brzemie, którego człowiek nie potrafi dźwigać samotnie. Po wypiciu filiżanki kawy Sabina poszła do hotelu, w którym już ją znano, zażyła proszek nasenny i we śnie znalazła schronienie.

Kiedy się o dziesiątej wieczór obudziła, usłyszała ze swego pokoju muzykę, dolatującą z Nocnego Klubu Mamby po przeciwległej stronie ulicy.

Potrzebny jej spowiednik! Czy znajdzie go tu, w świecie artystów? Oni wszędzie mają ulubione miejsca spotkań, swoje stowarzyszenia, zasady przyjmowania członków, swoje królestwa, przywódców i tajne sposoby porozumiewania się. Oni ustalają powszechne opinie o tych czy owych malarzach, muzykach, pisarzach. Są to w dodatku autsajderzy zazwyczaj źle widziani w ojczyźnie lub nawet odtrąceni przez własne rodziny. Ale zakładają nowe rodziny, tworzą własne religie, mają własnych lekarzy, własne społeczności.

Sabina pamiętała, jak ktoś spytał Jaya: „Czy przyjmiecie mnie, jeżeli dam dowody najlepszego gustu?”

— To jeszcze za mało — powiedział Jay. - Czy masz także ochotę stać się wygnańcem? Albo kozłem ofiar-

nym? My jesteśmy notorycznymi kozłami ofiarnymi, bo żyjemy tak, jak inni żyją tylko we śnie, bo wyznajemy otwarcie to, co inni wyznają otwarcie lekarzom, których obowiązuje tajemnica zawodowa. Jesteśmy też źle płatni, ludzie są przekonani, że kochamy naszą pracę i że nie należy płacić komuś za robienie tego, co ten ktoś najbardziej lubi.

W tym świecie mają również przestępców. Gangsterów na polu sztuki, którzy tworzą szkodliwe prace, zrodzone z nienawiści, którzy swoją sztuką zabijają i zatruwają. Obrazem lub książką można także zabijać.

Czy Sabina należy do tego grona? Co dotychczas zniszczyła?

Weszła do nocnego klubu Mamby. Sztuczne palmy wydały się jej mniej zielone, uderzenia w bęben słabsze. Podłoga, drzwi, ściany spaczyły się nieco ze starości.

W tej samej chwili do klubu przyszła Djuna, spod nieprzemakalnego płaszcza wystawały jej czarne trykoty do ćwiczeń, włosy miała związane wstążką jak uczennica.

Kiedy takie magiczne wejścia i wyjścia zdarzają się w balecie, kiedy tancerze znikają za kolumnami lub w gęstym mroku, nikt nie pyta ich o paszporty ani

O dokumenty, Djuna zjawiała się jak na tancerkę przystało, idąc równie swobodnie ze swojej sali ćwiczeń, która mieściła się kilka pięter wyżej nocnego klubu, jak wówczas w Paryżu, kiedy uczyła się tańczyć razem z baletnicami z opery. Sabina nie była zaskoczona jej widokiem. Ale pamiętała nie tyle zdolności taneczne Djuny, smukłe, napięte nogi baletnicy, ile jej talent do okazywania współczucia, jak gdyby Djuna dzień w dzień przy niewidzialnym drażniku cierpień ćwiczyła nie tylko ciało, ale

i zdolność rozumienia innych.

Djuna zawsze wie, kto ukradł, kto zdradził, co skradziono i kogo zdradzono. I może Sabina przestanie

spadać — spadać ze wszystkich jarzących się trapezów, ze wszystkich drabin, które wiodą w płomień.

Wszyscy są braćmi i siostrami, wirują na scenach podświadomości, nigdy rozmyślnie nie oszukują nikogo bardziej niż samych siebie, uwikłani w balet pomyłek i kabotyństwa, ale Djuna potrafi odróżnić złudzenie od prawdziwego życia i prawdziwej miłości. Potrafi wykryć cień zbrodni, której nikt inny nie zdołałby udowodnić. Zawsze wie, kto tę zbrodnię popełnił.

Sabina musi teraz tylko czekać.

Dźwięk bębnow ucichł, zupełnie jakby stłumiły go zwarte, nieprzebyte gęstwiny olbrzymiej puszczy. Niepokój Sabiny przestał pulsować jej w skroniach i zagłuszać wszystkie odgłosy z zewnątrz. Krążenie krwi stało się znów miarowe, ręce spokojnie leżały na kolanach.

Czekając, aż Djuna będzie wolna, Sabina myślała o inspektorze, o wykrywaczu kłamstw, który ją śledził. Był znów w barze, siedział sam i pisał coś w notesie. Przygotowała się psychicznie na przesłuchanie.

Wychyliła się od stolika i zawołała do niego:

— Dobry wieczór! Czy przyszedł mnie pan aresztować? On zamknął notes, podszedł do jej stolika i usiadł.

— *Wiedziałałam, że to się stanie — powiedziała. — Ale nie spodziewałam się tego tak szybko. Proszę usiąść. Dobrze wiem, co pan o mnie myśli. Mówi pan sobie: „Oto notoryczna oszustka, międzynarodowy szpieg w domu miłości” (czy też powinnam raczej sprecyzować: w domu miłości wielokrotnej?). Muszę pana ostrzec, powinien się pan ze mną obchodzić ostrożnie — pokry wa mnie opalizujący płaszcz, delikatny i tak łatwy do zniszczenia jak pyłek kwiatów, i chociaż naprawdę chcę się poddać, jeżeli chwyci mnie pan brutalnie, straci pan znaczną część dowodów rzeczowych. Nie chcę, żeby zniszczył pan tę kruchą osłonę z zadziwiających barw, stworzonych przez moje złudzenia,*

barw, których nie zdołał nigdy odtworzyć żaden malarz. To dziwne, prawda, że żadne chemikalia nie potrafią nadać człowiekowi tego barwnego lśnienia, jakie zawdzięcza złudzeniom? Proszę mi dać swój kapelusz. Ma pan taką oficjalną i zakłopotaną minę! A więc w końcu zdemaskował mnie pan! Ale czy zdaje pan sobie sprawę, jakiej odwagi, jakiego zuchwalstwa wymaga mój zawód? Niewiele osób jest do tego zdolnych. To moje powołanie. Ujawniło się ono bardzo wcześnie -w mojej zdolności do życia złudzeniami. Byłam dzieckiem, które potrafiło nazywać podwórko ogrodem, nędzne mieszkanie w kamienicy czynszowej domem, a kiedy spóźniałam się do domu, żeby uniknąć bury, potrafiłam natychmiast zmyślić i odtworzyć takie interesujące przeszkody i przygody, że musiało upłynąć dobrych kilkanaście minut, zanim moi rodzice otrząsnęli się z czaru i wrócili do rzeczywistości. Potrafiłam wychodzić ze swego powszedniego ja albo powszedniego życia i wcielać się w różnorodność postaci i egzystencji, nie zwracając niczyjej uwagi. Chcę powiedzieć, co pewnie pana zdziwi, że moje pierwsze przestępstwo było wymierzone przeciwko sobie samej. Deprawowałam nieletnich, a tą nieletnią byłam ja sama. Wypaczałam tak zwaną prawdę, aby stworzyć wspanialszy świat. Zawsze potrafiłam upiększać rzeczywistość. Nigdy mnie za to nie aresztowano - dotyczyło to tylko mnie samej. Moi rodzice nie byli tak świątli, żeby zrozumieć, że takie kuglarstwo może zrodzić wielką artystkę albo przynajmniej wielką aktorkę. Bili mnie, żeby wytrześć ze mnie pył złudzeń. Ale co ciekawe, im częściej ojciec mnie bil, tym obficie pył ten zbierał się znowu i nie był to szary lub brązowy pył, jaki widuje się co dzień, ale przypominał coś, co wśród poszukiwaczy przygód znane jest jako „złoto głupców”. Proszę mi dać swój płaszcz. Może jako przestłuchującego zainteresuje pana fakt, że

na swoją obronę stawiam zarzut autorom bajek. Oskarżam nie głód, nie okrucieństwo, nie rodziców, ale te bajki, które zapewniały, że od spania na śniegu nie dostaje się zapalenia płuc, że chleb nigdy nie czerstwieje, że drzewa kwitną przez okrągły rok, że smoka można pokonać odwagą, że gorące życzenie musi zostać natychmiast spełnione. Śmiałe, szczere życzenie, mówiły bajki, skuteczniejsze jest od pracy. Dym unoszący się z lampy Aladyna był moją pierwszą zasłoną dymną, zmyślenia zaczerpnięte z bajek były moim pierwszym krzywoprzysięstwem. Pooidzmy, że miałam perwersyjne skłonności — wierzyłam we wszystko, co czytałam. Roześmiała się z własnych słów. Djuna popatrzała na nią, myśląc, że Sabina za dużo wypila.

— Z czego się śmiejesz?

— Przedstawiam ci inspektora, Djuno. Może mnie aresztuje.

— Och, Sabino! Nigdy nie zrobiłaś nic, za co można by cię aresztować! Djuna przyjrzała się Sabinie. Napięcie, gorączka, którą zawsze widziała w jej twarzy, nie wynikały już z płomiennego ożywienia. Rysy Sabiny były ściągnięte, w oczach czał się lęk.

— Muszę z tobą pomówić, Djuno... Nie mogę spać...

— Usiłowałam cię znaleźć, Sabino, kiedy przyjechałam z Paryża. Ale tak często zmieniasz adres, a nawet nazwisko.

— Wiesz, że zawsze chciałam burzyć szablony, w jakich zamyka nas życie, jeżeli się mu poddamy.

— Dlaczego?

— Chcę wyjść poza granice, zatrzeć wszelką tożsamość, wszystko, co przywiązuje człowieka na stałe do jednego szablonu, jednego miejsca, bez nadziei na zmianę.

— To przeciwieństwo tego, czego zwykle pragną ludzie, prawda?

-Tak. Mawiałam często, że mam kłopoty mieszkaniowe, mój kłopot polegał na tym, że w ogóle nie chciałam mieć domu. Marzyłam o barce, o wozie, o czymkolwiek, co może się swobodnie poruszać. Najpewniej czuję się, kiedy nikt nie wie, gdzie jestem, na przykład w pokoju hotelowym, który ma nawet starty numer na drzwiach.

— Ale czego się obawiasz?

— Nie wiem, co staram się ukryć, może nic poza tym, że mam na sumieniu różne przygody miłosne, wiele przygód zamiast jednej miłości.

-To nie zbrodnia. To tylko przypadek dzielonej miłości!

— Ale te kłamstwa, kłamstwa, do których jestem zmuszona... Wiesz, tak jak niektórzy przestępcy mówią: „Nie było rady, musiałem kraść, żeby zdobyć to, czego pragnę”, ja często miałabym chęć powiedzieć: „Nie było rady, musiałam kłamać, żeby zdobyć to, czego pragnę”.

— Wstydzisz się tego? Sabina znowu poczuła lęk.

— Przy każdym mężczyźnie, w każdym związku nadchodzi chwila, kiedy czuję się samotna.

— Z powodu kłamstw?

-Ale gdybym powiedziała prawdę, nie tylko czułabym się samotna, ale byłabym sama i wyrządziłabym każdemu z nich wielką krzywdę. Jak mogę powiedzieć Alanowi, że kocham go jak ojca?

-I właśnie dlatego tyle razy go porzucałaś, tak jak porzuca się rodziców. Takie jest prawo dojrzewania.

— Mówisz, jakbyś mnie usprawiedliwiała. -Usprawiedliwiam tylko twój stosunek do Alana,

wobec którego zachowywałaś się jak dziecko.

-Jemu jednemu ufam, tylko on kocha mnie bezgranicznie, niezmiennie, on jeden wybaczyłby mi wszystko.

- Nie -opisujesz miłości mężczyzny ani nawet miłości ojcowskiej. Mówisz o ojcu urojonym, o wyidealizowanej postaci, zmyślonej niegdyś przez spragnione miłości dziecko. Alan ofiarował ci ten rodzaj miłości, którego potrzebujesz. I jeśli chodzi o taką miłość, słusznie mu ufasz. Ale kiedyś stracisz Alana, bo istnieje też wielu innych Alanów, podobnie jak istnieje wiele Sabin, i oni także chcą żyć i mieć odpowiednią partnerkę. Wróg miłości nie jest nigdy poza nami, to nie mężczyzna ani kobieta, ale brak czegoś w nas samych.

Sabina skruszona opuściła głowę na piersi.

- Nie wierzysz, że ten człowiek przyszedł mnie aresztować?

- Nie, Sabino, tak sobie tylko wyobrażasz. Uosobiłaś w nim swoje poczucie winy. Prawdopodobnie każdy policjant, każdy sędzia, każdy ojciec lub matka, każda postać reprezentująca władzę przypomina ci o tej winie. Widzisz ją oczami innych ludzi. Odzwierciedla to twoje własne uczucia. Sama interpretujesz to w ten sposób: oczy świata zwrócone na twoje postęпки.

Sabina podniosła głowę. Zagłębiła się w nurcie wspomnień tak przykrycli, że zaparło jej dech w piersi. Odczuwała silny ściskający ból, podobny do bólu, którego doświadczają nurkowie głębinowi, gdy zbyt szybko wypływają na powierzchnię.

- W świecie, który sobie stworzyłaś, Sabino, mężczyźni to krzyżowcy toczący o ciebie walki, sędziowie pełniący obowiązki rodzicielskie albo księżęta, którzy nie osiągnęli jeszcze wieku męskiego, więc nie mogą cię poślubić.

- Uwolnij mnie - powiedziała Sabina do inspektora. - Daj mi wolność. Tylu mężczyznom to mówiłam: „Czy przyniesiesz mi wyzwolenie?”
Roześmiała się.

- Gotowa już byłam panu to powiedzieć.

— Sama musisz się wyzwolić. To przyjdzie wraz z miłością... — powiedział inspektor.

— Och, kochałam nieraz, gdyby to miało mnie uratować. Kochałam aż nadto. Niech pan zajrzy do notesu. Jestem pewna, że pełno w nim adresów.

— Nie kochałaś jeszcze nigdy — odparł. — Tylko próbowałaś kochać, zaczynałaś. Zaufanie nie jest jeszcze miłością, samo tylko pożądanie nie jest miłością, złudzenia nie są miłością, marzenia nie są miłością.

Wszystko to były ścieżki umożliwiające wyjście poza granice własnego „ja”, to prawda, myślałaś więc, że prowadzą one do kogoś drugiego, ale do tego drugiego nie udało ci się nigdy dotrzeć. Byłaś tylko w drodze. Czy mogłabyś teraz pójść i znaleźć inne oblicza Alana, których nigdy nie starałaś się dojrzeć ani poznać? Czy zdołałabyś odkryć inne oblicze Mamby, które tak dyskretnie przed tobą ukrywał? Czy zdobyłabyś się na wysiłek, żeby poznać inne oblicze Filipa?

— Czy to moja wina, że ukazywali mi tylko jedną ze swoich twarzy?

— Jesteś niebezpieczna dla innych ludzi. Przede wszystkim stroisz ich w baśniowe kostiumy — biedny Filip jest Zygfydem, musi śpiewać zawsze czysto i być niezmiennie piękny. Czy wiesz, gdzie on jest teraz? W szpitalu, z nogą złamaną w kostce. Z braku ruchu bardzo przybrał na wadze. Odwracasz się, Sabino? To nie ten mit, z którym romansowałaś, prawda? Gdyby Mambo przestał bić w bęben, żeby pojechać do kraju i pielęgnować chorą matkę, czy pojechałabyś z nim i gotowałabyś strzykawki? A gdyby inna kobieta pokochała Alana, czy zrezygnowałabyś ze swoich dzieciennych roszczeń do jego opieki? Czy postarasz się wreszcie zostać autentyczną aktorką i przestaniesz ustawicznie grać Kopciuszką nadającego się tylko do teatrów amatorskich, który długi czas po spektaklu zachowuje

wciąż n a nosie płatek papierowego śniegu ze śnieżnej burzy, jak gdyby mówiąc: „Dla mnie nie ma najmniejszej różnicy między śniegiem sztucznym a tym, co pada teraz w Piątej Alei”? Och, Sabino, podczas swojej gry w pożądanie jakże podtasowywałaś fakty, byleby zawsze wygrać. Ten, komu chodzi tylko o wygraną, nigdy jeszcze nie kochał! — A jeśli zrobię wszystko, czego ode mnie żadasz — powiedziała Sabina, zwracając się do inspektora — czy przestaniesz ustawicznie mnie śledzić, przestaniesz pisać w notesie? — Tak, Sabino, przyrzekam — odparł. — Ale skąd tyle wiesz o moim życiu? — Zapomniałaś już, że to ty sama zachęciłaś mnie, żebym cię śledził. Dałaś mi prawo osądzania twoich czynów. Obdarzasz tym prawem tylu ludzi: księży, policjantów, lekarzy. Śledzona przez własne sumienie, w coraz to innej postaci czułaś się pewniej. Czułaś, że możesz zachować zdrowe zmysły. Połowa twojej istoty pragnęła pokuty, aby pozbyć się udręki sumienia, ale druga połowa chciała być nadal wolna. Tylko połowa poddawała się, wołając do obcych: „Chwytajcie mnie”, gdy druga połowa w ostatniej chwili starała się przemyślnie wymknąć. Był to tylko jeden z twoich flirtów, flirt ze sprawiedliwością. A teraz uciekasz, boś zawiniła, dzieląc miłość, boś zawiniła, nie kochając. Biedna Sabino, za mało miałaś uczuć, żeby starczyło dla wszystkich... Szukałaś pełnego wyrazu swojej osobowości w muzyce... Twoje dzieje to dzieje braku miłości... I wiesz, Sabino, gdyby cię pojmano i osądzono, wymierzono by ci karę nie tak surową jak ta, na którą skazałaś się sama. Jesteśmy o wiele surowszymi sędziami własnych czynów. Sądzymy swoje myśli, sekretne zamiary, nawet sny... Nie brałaś nigdy pod uwagę okoliczności łagodzących. Musiałaś przeżyć jakiś wstrząs, po którym

pozostał ci lęk przed wielką, jedyną miłością. Dzieliłaś uczucia, żeby w ten sposób zmniejszyć zagrożenie. Tyle tajemnych przejść prowadziło ze świata nocnego klubu Mamby do „Przedwojennego Wiednia” Filipa, do intelektualnego świata Alana lub efemerycznego świata dojrzewającego Donalda. Niestalość w miłości stała się warunkiem twojej egzystencji. To żaden wstyd, że się szuka dróg ratunku.

— Moje drogi ratunku zawiodły.

— Chodź ze mną, Sabino.

Sabina weszła z Djuną do wynajmowanego przez nią mieszkania, gdzie wciąż jeszcze słyhać było odgłosy bębnow.

Jak gdyby chcąc zagłuszyć te dźwięki, Djuna nastawiła płytę.

— Sabino... — ale nie padły żadne słowa, kiedy jeden z kwartetów Beethovena zaczął mówić Sabinie o tym, czego nie zdołała wypowiedzieć Djuna, a czego obie były zupełnie pewne — że istnieje ciągłość egzystencji i łańcucha szczytów, uniesień, dzięki którym ta ciągłość jest zachowana. Świadomość, wznosząc się na coraz wyższy poziom, nie zaznaje spoczynku, pokonuje śmierć i w ten sam sposób zachowuje ciągłość miłości, koncentrując się na jej bezosobowej treści — która jest sumą całej alchemii życia i narodzin — dziecka, dzieła sztuki, odkrycia naukowego, bohaterskiego czynu, aktu miłości. Tożsamość pary ludzi nie jest wieczna, lecz zmienna, żeby umożliwić tę wymianę dusz, przekazywanie cech charakteru, płodzenie nowych, rodzących się osobowości, a wierność dotyczy tylko ciągłości, rozmiarów i rozrostu miłości, przybierającej realny kształt w szczytowych chwilach równych szczytom uniesień artystycznych lub religijnych.

Sabina osunęła się na podłogę i siadła, przyciskając głowę do gramofonu, jej szeroka spódnica uniosła się na moment niczym otwarty spadochron, by po chwili opaść całkowicie i rozpląszczyć się w kurzu.

Łzy Sabiny nie były okrągłymi, oddzielnymi kroplami jak zwykle łzy, ale zdawały się tworzyć welon wodny, tak jakby ciężar i siła muzyki ściągały ją na dno morza. Kontury oczu, rysy twarzy rozplynęły się zupełnie, jak gdyby Sabina traciła swoją materialną postać.

Wykrywacz kłamstw, chcąc przyjść jej z pomocą, wyciągnął ręce gestem tak delikatnym, jak gdyby to był raczej pełen wdzięku taniec smutku niż sam smutek, i rzekł:

— Homeopatia zna lekarstwo dla tych, których muzyka wzrusza do łez.

To rytm — tętno życia.